NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 28 kwietnia 1906 r. Nr. 17.

Zagłada krainy złota.

(Treść na stronie 2).

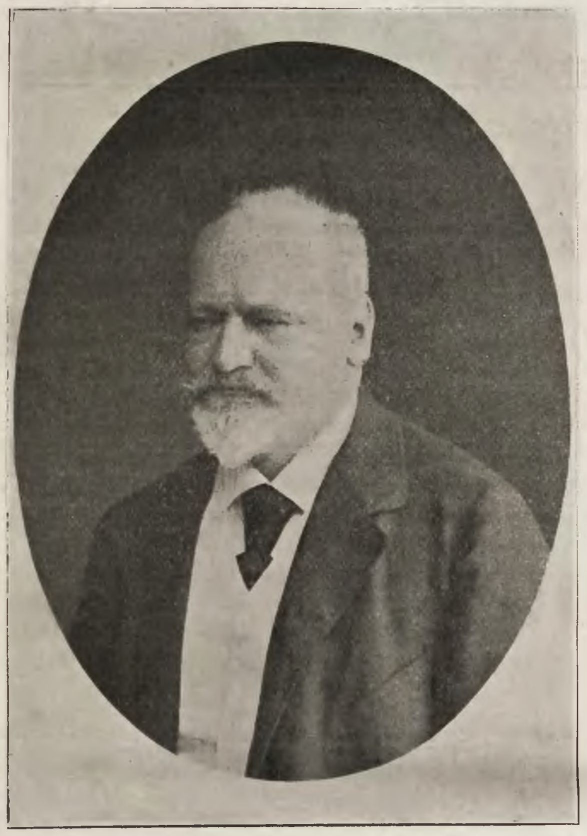


Zagłada krainy złota.

(Do illustracyi tytułowej).

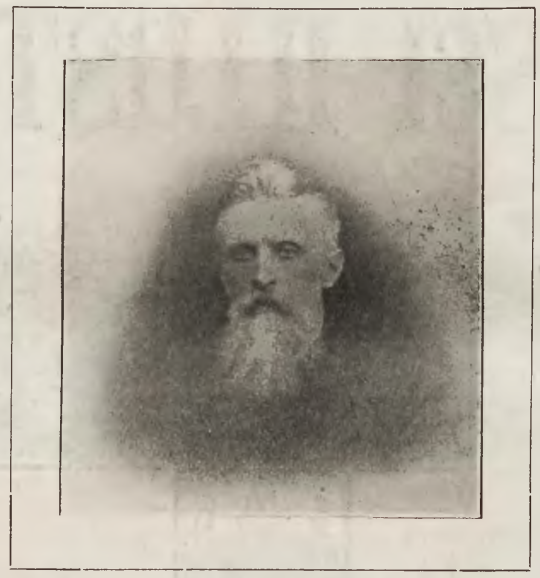
Z pism codziennych wiedzą już Czytelnicy, że zaraz po wybuchu Wezuwiusza, zdarzyło się jeszcze większe nieszczęście na drugiej półkuli. — Ofiarą jego padła kraina złota — Kalifornia w Ameryce, a głównie jej stolica San Francisco. Nagłe i niedługie trzęsienie ziemi, skutkiem tego olbrzymi pożar — i najwspanialsze miasto poszło w gruzy.

San Francisco, wielka stolica Kalifornii, nazwę swą zawdzięcza pobożnym Ojcom zakonu św. Franciszka, którzy u stóp góry Sierra Morena założyli w r. 1776 misyę katolicką. Podobnie jak Chicago, może i San Francisco służyć za wzór błyskawicznego iście wzrostu wielkich centrów amerykańskich. Do r. 1848 była tam osada, złożona z kilkuset ledwie myśliwych i rybaków, którzy na tym dalekim, dzikim półwyspie, oblanym wodami



Działacz wyborczy w Warszawie: Znany lekarz, polityk i mecenas sztuki, dr. Karol Benni.

Oceanu Spokojnego i zatoką San Francisco, założyli swą siedzibę. W roku tym jednak kilku myśliwych odkryło żyły złota w górach i piasek złoty w łożysku rzeki. Wiadomość ta w lot objęła świat cały. Gorączka złota, pragnienie bogactw zapędziły setki tysięcy wykolejonych i biednych, awanturników i uczciwych robotników, przestępców i zbiegów w złotodajne góry Kalifornii. Nadzieje ziściły się. — Odkryto bogate żyły złota. Od tej chwili kultura poczęła robić swoje. Utworzyły się Towarzystwa akcyjne, zdobywano bogactwa i tracono je. Powstały osady, miasteczka i miasta, a rozważne i spokojne żywioły zorganizowały z pośród siebie policyę, która „lynchowała“ bezlitośnie każdego przestępcę. W ten tylko sposób zdołano



Poseł Prawdy: Znakomity pisarz i publicysta polski, Aleksander Świętochowski, były redaktor „Prawdy“, kandydat na posła z Warszawy do Dumy. (Do artykułu na stronie 14).

zaprowadzić porządek wśród mas niesfornych, w ten tylko sposób namioty i chaty poszukiwaczy złota mogły przemienić się w wielkie miasto.

Dziś San Francisco zwane zwykle w skróceniu „Frisco“ liczy 400.000 mieszkańców, a wśród tych 40.000 Niemców i przeszło 2000 obywateli austro-węgierskich. Miasto to jest dziś nietylko największą i główną metropolią handlową nad brzegiem Pacyfiku, lecz także jednem z najbardziej zajmujących miast całego świata. Z której kolwiek strony podróżny dotrze do „Frisca“ — czy to po długiej podróży wzdłuż brzegów Oceanu Spokojnego stanie w zatoce tej samej nazwy, czy też zawita koleją przez olbrzymie Sierra-Nevada — wrażenie odnosi wstrząsające. Europejczyk widzi tu przed sobą olbrzymie, na wielką skalę założone miasto, w niczem do europejskich niepodobne.

Pas ziemi około 50 kilometrów długości a 10 kilometrów szerokości, na którym San Francisco leży, oddziela zatokę tegoż nazwiska od Oceanu Spokojnego. Połączone zaś są te wody drogą „Złotej bramy“ (Golden Gate). Całe miasto, położone na stokach góry Sierra-Morrena, poprzecinane jest prostemi, na sposób amerykański, szerokimi ulicami, które mają wielkie spadki. Komunikacyę ułatwiają koleje zębate, kablowe, tramwaje elektryczne itd. Główną handlową arteryą miasta jest Marketstreet, przerzynająca najbardziej katastrofą dotkniętą dzielnicę. Zasługuje na uwagę dzielnica chińska, największa ze wszystkich, jakie istnieją w amerykańskich miastach w całych Stanach Zjednoczonych. Pałace dzienników, również zburzone, były typem amerykańskich 12 i 14 piętrowych olbrzymich „drapaczy chmur“. W rzędzie budynków godnych zaznaczenia, wymienić należy dalej katedrę z 73 metrową wieżą i inne kościoły, wreszcie pałace miliarderów i milionerów. Hotele San Francisco pod względem komfortu, wygody i praktyczności urządzenia znane są chlubnie w całej Ameryce. Miasto ma 6 teatrów, 40 szpitali, 30 bibliotek. Handel i przemysł jest bardzo znaczny. Fabryki zatrudniają przeszło 50.000 robotników.

Z amerykańskich depesz kablowych można nabrać przekonania, że katastrofa w San Francisco należy do najstraszniejszych zaburzeń seismicznych, jakie nawiedziły kiedykolwiek wybrzeża Pacyfiku. Trzęsienie ziemi wraz z pożarem przez nie wywołanym, zwaliło całe dzielnice najpiękniejszych gma-



Potomek polskiego Bismarka: Ordynat Maurycy hr. Zamoyski w Warszawie, domniemany poseł ziemi Lubelskiej do Dumy, który zaręczył się świeżo z księżniczką Maryą Sapieżanką. (Do artykułu na stronie 20).

chów, całe ulice pałaców. A co tam były za gmachy. Ratusz w San Francisco, najpiękniejszy budynek Ameryki, zbudowany na betonowej podstawie, założonej kosztem 3 i pół miliona koron. Tym samym, niesłychanie kosztownym sposobem powstał jeden z najpiękniejszych hoteli świata „Palace Hotel“, będący zarazem rodzajem sanatoryum dla publiczności, szukającej w tem mieście wiecznej niemal wiosny — wypoczynku i uleczenia. Największe domy spedycyjne i składowe, wobec których blednie przepych paryskiego „Louvre“ lub berlińskiego „Wertheima“, opera, wszystkie gmachy, których struktura była ostatnim wyrazem nowożytnej techniki, przewidującej właściwości wulkanicznego terenu, runęły w pierwszym momencie wstrząśnienia, jak domki z kart. Katastrofa trwała niespełna trzy godziny. Od 5.13 rano do godz. 8. Trzęsienie ziemi objęło rejon w promieniu 60-milowym. Nie wiadomo tylko dotąd czy San Francisco było właściwem centrem tego wybuchu, bo z okolic miasta nadchodzą ciągle nowe wieści. Jest już rzeczą pewną, że n. p. pobliskie miejscowości San Barbara i San José leżą także w gruzach.

Trzęsienie ziemi wywołało na ulicach w San Francisco kilkometrowe rozpadliny. Żelazne konstrukcye największych gmachów, rury gazowe i wodociągowe, dachy i ściany żelazne pogięły się i popękały jak trzcina. Betonowe chodniki wyrzuciło wstrząśnienie w górę, a najszersze ulice zmieniły się w gruzy i rumowiska, z pod których wydobywać się poczęły płomienie, krótkie eksplozye uchodzącego gazu zwiększały szerzący się pożar, który z fatalistyczną szybkością ogarnął całe dzielnice wspaniałego niegdyś miasta.

Co oparło się kataklizmowi przyrody, to zniszczył drugi wróg — płomień. Ludność uciekała w nocnych strojach na oślep, krzycząc z przerażenia. Burmistrz zorganizował na prędce straż bez-



Żywe pochodnie: Mieszkanie Dąbków na Hożej w Warszawie, w którem z rodziny, złożonej z 9 osób, spaliło się siedmioro. (Fot. zaraz po pożarze dla „Nowości Illustr.“ Nemo).

pieczeństwa i pożarną, wnet jednak ustał wszelki ratunek, bo nie było wody do gaszenia. Lokalizowano pożar, wysadzając bliskie płomieniom domy dynamitem. Lecz i dynamitu zabrakło. Z zaułków i nor zbrodniczych wypełznął zwierz ludzki i począł rabować i zabijać przy łunach morza płomieni. Straż, ustawiona przed ocalałymi gmachami bankowymi i kasami strzelała do każdego, na kogo padło choćby podejrzenie o rabunek; telegrafowano również do Waszyngtonu po wojsko, które przybywszy, obsadziło całe miasto patrolami, strzegącymi mienia ocalonych.

Hotel zamieszkiwany przez rodaczkę naszą, p. Sembrich-Kochańską, która śpiewała jeszcze dzień przedtem w zawalonej już dzisiaj operze, stał się, jeden z pierwszych pastwą trzęsienia, a później pożaru; wszyscy jego mieszkańcy zdołali jednak schronić się na czas do miejsca bezpiecznego. W hotelu „Valencia“ zginęło natomiast przeszło 100 osób, zaskoczonych we śnie przez katastrofę. Gazownia miejska eksplodowała, elektrownię zniszczyło trzęsienie ziemi, szpitale rozpadły się w gruzy; niema gdzie przewozić tysiąca rannych, niema ich czem żywić!

Liczba ofiar katastrofy dotychczas dokładnie oznaczyć się nie da. Dotyczące obliczenia przypuszczalne różnią się ogromnie, najniższa cyfra wynosi 1000, najwyższa 15.000. Nadto w innych miastach Kalifornii, dotkniętych trzęsieniem ziemi, zginąć miało około 800 osób. Zdaje się jednakże, że liczba ofiar katastrofy w samem San Francisco przekracza znacznie cyfrę 1000. W sobotę z pod gruzów jednego tylko domu wydobyto 75 ciał ludzkich. Straty materyalne podają ostatnie doniesienia na 500 milionów dolarów, czyli dwa i pół miliarda koron. Jeśli nie powiodło się ocalić zupełnie lub częściowo dzielnicy miliarderów, będą wprost olbrzymiemi także straty dzieł nauki i sztuki. Wielu bowiem milionerów posiadało w swoich pałacach bardzo cenne zbiory.

Zdaje się, że w jednym z kościołów, które runęły podczas nabożeństwa, zginęło kilkuset naszych rodaków z pośród emigrantów z Polski.

Działacz wyborczy w Warszawie.

Choć szron dawno przyprószył mu skronie, choć nie marnował lat na próżniactwie lub używaniu, choć ma za sobą zasługi i uznanie na polu lekarskiem jako specyalista chorób usznych, zaś na polu sztuki jako b. długoletni wiceprezes Tow. Zachęty sztuk pięknych, za którego stanął dzisiejszy pałac sztuki, choć obarczony udziałem we wszelkich komitetach, czy politycznych, czy dobroczynnych, czy społecznych, poczuł się dr Karol Benni również do obowiązku czynnego udziału w pracach komitetu przedwyborczego jak i obecnej akcyi wyborczej. Tu członek komitetu, tam jego prezes, owdzie znowu przewodniczący zgromadzenia wyborczego, cieszy się powagą i zaufaniem narodowych demokratów, jakoteż ugodowców. Umysł bystry przytomny łączy z energią, która przybiera niekiedy pozory uniesienia się.

W każdym razie postać to Warszawy wybitniejsza, która może się znaleść w gronie 80-u wybrać się mających „elektorów“, powołanych do wybrania posła do Dumy państwowej w Petersburgu. *B-t.*



Żywe pochodnie: Pogrzeb 7 ofiar rodziny Dąbka, żywcem spalonych w domu na Hożej w Warszawie; kondukt z siedmiu niesionemi na ramionach trumnami w Alejach Jerozolimskich. (Fot. Nemo).

Żywe pochodnie.

Straszny, wstrząsający nerwami wypadek zdarzył się przed tygodniem w Warszawie w małem parterowem mieszkanku jednopokojowem w drewnianym domu na rogu ul. Leopoldyny i Hożej. Mieszkanie to, (podajemy jego podobiznę po katastrofie) którego okna wychodzą na ul. Hożą, zajmowane było przez rodzinę Dąbków, składającą się z ojca rodziny, stróża kolejowego, jego żony Teofili, oraz 7 dzieci, z których najstarszy syn Józef, liczył lat 16, najmłodsze zaś zaledwie 8 miesięcy. Zrana mieszkańcy domu przerażeni zostali nieludzkim krzykiem kobiecym, dobywającym się z mieszkania Dąbków. W tej chwili w drzwiach ukazała się na tle czerwonego tumanu dymu, ziejącego z mieszkania, Teofila Dąbkowa: na jednem ręku trzymała niemowlę, a drugą ręką ciągnęła napół omdlałego syna swego Jana, na którym płonęła koszula. Przerażeni tą straszną sceną mieszkańcy oniemieli, tak, że nieszczęśliwa kobieta zostawiwszy dzieci na podwórzu, poraz wtóry wbiegła do ziejącej obecnie już ogniem izby i wyniosła na ręce płonącą 8-letnią córeczkę Stefanię oraz 3-letniego syna Antoniego. Oszalała z bólu skutkiem płonącego na niej ubrania, oślepiona straszną rozpaczą na myśl, że reszta dzieci ginie tam w płonącym pokoju, Teofila poraz trzeci wdarła się do swego mieszkania, by wyprowadzić dzieci. Tym razem siły opuściły nieszczęśliwą kobietę i omdlała wyczerpana, padając wśród płonących sprzętów. Teraz dopiero pobiegli na ratunek mieszkańcy domu oraz w tej właśnie chwili przybyły ze służby nocnej stróż kolejowy i ojciec rodziny, Józef Dąbek. Rozbicie szyby w oknie i wyniesienie reszty gorejących dzieci, było dziełem jednej chwili.

Do leżących pokotem na podwórzu strasznie poparzonych Teofili oraz ich małych dzieci wezwano Pogotowie, tymczasem zagaszono przy pomocy nadbiegłych z sąsiednich domów stróżów dopalające się urządzenie mieszkania. Przybyły lekarz Pogotowia znalazł beznadziejny stan zdrowia matki Teofili (38 lat) i sześciorga dzieci jej: Józefa 16 lat, Janiny 13 lat, Stefana 10 lat, Maryanny 7 lat, Leopolda 6 lat i Antoniego 2 lata. Jedynie niezbyt ciężkie oparzeliny 14-letniego Jana rokują nadzieję, że przy usilnej opiece lekarskiej uda się utrzymać go przy życiu.

Co było przyczyną tej strasznej katastrofy — właściwie niewiadomo. Przypuszczać jednak należy, że ogień rozpoczął się od lampki święcącej się przed obrazem N. M. Panny.

Gdy już pożar ogarnął całą połowę pokoju, obudziła się Teofila i rozpoczęła straszny, przechodzący siły ludzkie, ratunek zagrożonych. Dzieci widocznie znużone świątecznemi zabawami spały bardzo twardo, a gdyby się przebudziły, duszący dym odebrałby im przytomność. Przewiezione do szpitala ofiary strasznego wypadku mimo natychmiastowego ratunku, oprócz Jana, zmarły. Owinięte w białe całuny przeniesiono zwłoki ofiar do gabinetu medycyny sądowej. Przed długą drewnianą pryczą, na której rzędem leżało 7 owiniętych trupów — klęczał tam oszalały z rozpaczy Józef Dąbek. Jednego dnia stracił ten nieszczęśliwy człowiek kochającą go żonę i podpory starości. Bez ruchu z zakamieniałą na twarzy boleścią niemą, która serca rozrywa, patrzył na strasznie oszpeconą twarz swojej towarzyszki życia.

Na pogrzeb siedmiu ofiar nieszczęśliwego wypadku zebrało się około 20 tysięcy osób. Kondukt poprzedzały liczne bractwa z chorągwiami i duchowieństwo. Zrazu niesiono trumny na barkach (jak to widać na naszej fotografii w chwili, gdy kondukt szedł Alejami Jerozolimskimi do Marszałkowskiej), a następnie wieziono na cmentarz na Bródnie na siedmiu karawanach jedną za drugą siedm trumien białych, widocznych dobrze nad tłumem na naszej fotografii, zdjętej na Krakowskiem Przedmieściu. Za ostatnią trumną postępuje oszalały z rozpaczy ojciec z głową poparzoną w opatrunku, który na rycinie odznacza się białą plamą.



Żywe pochodnie: Przez Krakowskie Przedmieście w Warszawie zdąża na Bródno kondukt pogrzebowy przy udziale 20 tysięcy ludzi; za siedmiu trumnami na 7 karawanach wiezionemi, idzie oszalały z rozpaczy Dąbek (głowa w białym opatrunku za ostatnią trumną), który w godzinie stracił żonę i sześcioro dzieci w pożarze. (Fot. Nemo).

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

5 Ciąg dalszy.

— Ty mi nie ufasz, Mieczku, ja widzę, że ty poprostu nie wierzysz, bym ja ci mogła dopomódz... Mój Boże, przypomnij sobie, Mieciu, czym ja ci kiedy nie dotrzymała, kiedykolwiek, ile razy ci coś przyrzekłam.. Wiesz przecie, mój drogi, jak bardzo ja cię kocham, więc pojmiesz łatwo, że ja poprostu nie mogę tak cię zostawić... nie mogę spokojnie patrzeć na to, jak ty niewymownie cierpisz, mój złoty.

A kiedy się do niej odwrócił, szepnęła:

— Zechcesz mi przyrzec, że przez dwa dni.. tylko dwa dni będziesz spokojnie oczekiwał wyniku i mojej o nim odpowiedzi ostatecznej... no, dwa dni cierpliwości... Mieć...

Młody hrabia wahał się chwilę, wreszcie odezwał się głosem powolnym:

— Dobrze, przyrzekam ci, słowo ci daję nawet, że przez dwa dni czekam... A po dwóch dniach...

— Ja ci pomoc przyniosę — dokończyła szybko dziewczyna tonem pełnym radosnej nadziei... i usta ich zwarły się mimowoli w gorącym pocałunku miłości.

. . . .

— Więc to dla tej ścierki tracisz pieniądze — rozległ się nagle od drzwi głos gniewny — przez tę dziewkę sprowadzasz na moją głowę taką hańbę i wstyd przynosisz naszemu nazwisku...

Był to hrabia Rożniewski, ojciec Mieczka, który przyjechawszy niespodzianie z Warszawy dla naradzenia się z synem, zjawił się teraz w jego mieszkaniu niezapowiadany.

Halka Modrzewska wydała naraz okrzyk przerażenia i odskoczyła nagle od swego ukochanego, który jednak zaraz rękę ku niej wyciągnął, chcąc ją od ucieczki powstrzymać, lecz w tej chwili między oboje młodych ludzi wpadł ojciec pełen wzburzenia.

— Mam z tobą do pomówienia, Mieciu — zawołał głosem surowym, poczem w tonie jeszcze zimniejszym zwrócił się do panienki:

— Proszę nas natychmiast opuścić.

Zbyt była przerażona Halka, by mogła odważyć się na jakąkolwiek odpowiedź, więc tylko ku drzwiom skierowała chwiejne kroki.

A wówczas rzucił się ku niej Mieczysław, wołając podniesionym szeptem, w którym dźwięczało wiele szczerej boleści i serdecznego żalu:

— Halko, Halko!

Lecz ojciec schwycił go za ramię.

— Czy ty wiesz chłopcze, że tu idzie o życie lub śmierć... że tu ważą się losy między honorem, a hańbą.

Na te słowa zawstydzony młodzieniec zbladł śmiertelnie. Ręka w stronę ukochanej wyciągnięta, opadła z powrotem, a drzwi się zatrzasły.

Modrzewska opuściła pokój.

Z cisnącemi się do oczu łzami, zbiegła pośpiesznie po schodach i zatrzymała się dopiero na dole, chwytając się nagle za piersi, w których ból niewymowny uczuła. Serce jej się ścisnęło z wielkiego żalu za ukochanym, którego — jak się jej zdawało — traciła naraz zupełnie.

— Boże, Boże — myślała — ścierką mnie nazwał... ten dumny człowiek... taką obelgę w twarz mi cisnął... a ja odeszłam bez słowa...

Pierś jej falowała wzburzona.. Postąpiła parę kroków i znowu przystanęła. Obejrzała się za siebie, a wargi jej szeptały cicho:

— Przebaczam ci, hrabio... z miłości dla Mieczka.. On dla mnie wszystkiem na świecie... dla niego gotowam zginąć, więc ścierpieć mogę tem łatwiej niezasłużone obelgi... Zobaczysz jeszcze, dumny panie hrabio, że ja dla twego syna wywalczę szczęście, jakiego ty mu dać nie zdołasz, chociaż i ty go kochasz po swojemu... Mieć, mój złociutki Mieć... ja cię ocalę.

Sprzedana.

Wanda nie przeczuwała nawet, że ostateczne rozstrzygnięcie jej losów było tak niemiłosiernie bliskie.

Złamana na ciele i duszy, opuściwszy swego ukochanego męża w trumnie, udała się w towarzystwie ojca zupełnie apatycznie do hotelu i wszedłszy do pokoju, upadła bezsilna na kanapę.

Była szczęśliwa, że hrabia Rożniewski opuścił ją wkrótce i pozostawił sam na sam z czarnemi myślami w czterech ścianach hotelowego numeru.

Kiedy więc hrabia zjawił się z powrotem i zbliżył się do niej, Wanda ze skargą w głosie odezwała się do ojca:

— Chcesz mi, ojcze, zapewne przypomnieć nieszczęsne przyrzeczenie, jakie ci dałam.

Twarz Rożniewskiego wykrzywiła się na chwilę jakoś dziwnie, lecz rychło rozpogodziła się, a wtedy hrabia usiadłszy przed córką, zaczął mówić spokojnie:

— Przebacz mi, dziecko kochane, że tak okrutnie postąpiłem względem ciebie... Widzę, że ofiara, jakiej od ciebie wymagam, jest istotnie dla ciebie zbyt wielką.. Ale nie dziw się, Wando, zrozpaczonemu ojcu, że musiał tak cię naglić swojemi prośbami... Spojrzyj tylko na mnie, wiesz, jak młody jeszcze jestem, a widzisz, że mi już włosy siwieją pośpiesznie. To troski, kłopoty ciężkie tak się naraz zwaliły na mą głowę... tyle zgryzot i zmartwień mam w ostatnim czasie... Ale wierz mi, że to wszystko niczby nie było jeszcze, gdyby nie obawa o Mieczka, o jego honor... Nie chciałbym dopuścić do hańby, która spaść może na jego głowę...

Teraz ujął Rożniewski Wandę za obie ręce i starał się mówić tonem, o ile możności, miękkim, a w głosie jego brzmiało coś w rodzaju wzruszenia:

— Moja kochana, ja sam wiem dobrze, że Mieczek postępował z karygodną lekkomyślnością, że on sam zasłużył na swój los... bynajmniej nie myślę temu wszystkiemu przeczyć... Ale widzisz, Wando, nie zapominaj, że jestem jego ojcem i że on jest jedynym spadkobiercą naszego dumnego rodu, naszego nieskalanego nazwiska... Tyś jego siostra... Czyż mam ponawiać swoją prośbę, skoro wiesz najlepiej sama, iż idzie tu o jego honor, iż trzeba co rychlej ratować go póki pora.

Złamana kobieta spojrzała na ojca zimno.

— Rób ze mną co chcesz, mój ojcze. Wszakżeś mi już zabrał wszystko, do czego przywiązałam się całem sercem... Dziś, straciwszy, co miałam najdroższego na świecie, zobojętniałam zupełnie... nie dbam o przyszłość, wszystko mi jedno, jaką ona będzie... A przyznam ci się szczerze, że właściwie miałabym tylko jedno pragnienie jeszcze...

Hrabia słuchający słów jej ze spuszczoną na piersi głową, nagle podniósł oczy na córkę.

— Umrzeć jak najprędzej — dokończyła Wanda.

Zagryzł wargi Rożniewski i milczał długo, ale wzrok jego padał co chwilę niecierpliwie to na wskazówki zegara, to na drzwi znowu.

Wreszcie wyjął chusteczkę z kieszeni, otarł nią nieznacznie pot, który mu naraz skroplił czoło, i przerwał przykre milczenie:

— Moja Wando, najbliższe chwile rozstrzygną nasze losy. Idzie o życie lub śmierć. Pamiętaj, córko, o swojej przysiędze... to jedno. A powtóre przypominam ci, dziecko, że jesteś hrabianką Rożniewską... bądź łaskawa, nie zapominać o tem ani na chwilę.

— Hrabianką Rożniewską — powtórzyła Wanda mechanicznie, poczem drżącym głosem dodała:

— Tak, pamiętam, jestem jedną z Rożniewskich, od której w tej chwili zależeć ma honor tego nazwiska.

— Powiedziałaś, Wando... tak jest w istocie... idzie tu, powtarzam, o honor i życie.

— Rozkazuj tylko, panie hrabio... ja będę posłuszną.

— Ale moje dziecko drogie, czy też ty tylko czujesz się dość silną?

A kiedy mu nic na to nie odpowiadała, dodał nieśmiało:

— Bo widzisz, chciałem ci przedstawić właśnie pana barona de Goldenthala.

Wtedy córka obrzuciła ojca wzrokiem dziwnym a nieokreślonym, z którego trudnoby było wyczytać, co właściwie miało wypowiedzieć jej spojrzenie.

Poruszyła się gwałtownie na kanapie i przysuwając się do hrabiego, pytała szybko, akcentując ironicznie wyraz za wyrazem:

— Baron oczekuje właśnie, czy tak?... Wezwałeś go telegraficznie, nieprawdaż?... Czy przywiózł ze sobą umówioną cenę kupna?...

Nastała przykra chwila milczenia, podczas której pan Rożniewski nie spuszczał wzroku z zegara, a unikał spotkania się ze spojrzeniem córki.

Nakoniec Wanda podniosła się powoli z kanapy, stanęła przed ojcem i prostując się dumnie, zawołała z głową podniesioną:

— Powiedz temu panu, że go oczekuję.

A kiedy ojciec spoglądał na nią pełen wątpliwości i nieufności i szukał w myśli słów do odpowiedniego zapytania, ona mówić zaczęła zimno:

— Nie obawiaj się, panie hrabio Rożniewski.. Możesz być zupełnie spokojny o mnie. Doktorowa Wanda Anielska zerwała z przeszłością, która leży poza nią kędyś daleko porzucona i zapomniana... Wszystko wymarło w mojem sercu... To też dziś mogę jedynie zimne, ale to lodowato zimne serce bez czucia ofiarować człowiekowi, któremu się sprzedaję.

Teraz głos podniósłszy, mówiła powoli:

— Żeby jednak ofiara moja nie stała się bezużyteczną... słuchaj, ojcze... chcę warunki postawić, pod któremi to oddam rękę baronowi... Jest to żądanie, jakie mi duma moja podyktowała... A nadto zapowiadam ci, ojcze, nie wymagaj odemnie kłamstwa, bom do niego niezdolna... Nawet nie zamyślaj wdawać się ze mną w jakąkolwiek bezużyteczną dysputę w tej mierze, ponieważ postanowień swoich nie cofnę i nie odmienię... Żeby cię zatem nie spotkało to nieprzygotowanego, zapowiadam ci już z góry, że mam zamiar temu panu... temu baronowi de Goldenthalowi swobodnie i otwarcie wypowiedzieć wszystko, co o całej tej historyi myślę i powiedzieć mu to wszystko muszę.

Potrząsnęła głową dumnie.

— Zgadzasz się zatem, ojcze?

— Muszę — wykrztusił z miejsca hrabia Rożniewski, poczem jak gdyby obawiał się, by Wanda nie odmieniła jeszcze swego postanowienia, czy też by się nie zniecierpliwił baron Goldenthal — poskoczył hrabia co żywo ku drzwiom i zniknął w korytarzu hotelowym, pozostawiwszy córkę samą w pokoju.

Młoda kobieta przystąpiła teraz do okna i kurczowo załamała na piersiach obie ręce.

Serce jej tłukło się jak ptak w klatce. Krew w żyłach ścinała się lodem.

Myśl jej w tej chwili pobiegła ku tej strasznej trumnie, która jej męża zabrała, a potem ciche posłała westchnienie w stronę jedynego dziecka, które sobie dziś przywłaszczył człowiek obcy.

A tymczasem po schodach szedł ojciec Wandy, złamany, ze spuszczoną głową, on, który wobec świata był zawsze takim dumnym hrabią, a teraz pełen upokorzenia zbliżał się do drzwi pokoju barona i drżał na całem ciele, słysząc z poza nich wyraźnie drwiący śmiech Goldenthala.

Ale natychmiast w progu wyprostował się, a twarz jego przybrała zwykły wyraz pańskiej dumy. Gdy wchodził do pokoju, postać jego wyglądała znowu imponująca jak zawsze i wszędzie wobec ludzi.

W złotym humorze zastał właśnie barona, który w ostatnich czasach przyjmował już hrabiego zazwyczaj z chłodnem lekceważeniem, a nawet parę razy traktował go obraźliwie. To też nie mogło ujść uwagi Rożniewskiego, iż ukłon, jakim go teraz baron powitał, był pełen uszanowania i przypomniał mu dawne czasy, gdy mu jeszcze wpół kłaniali się tacy świeżo upieczeni Goldenthalowie.

Nagły ten zwrot w postępowaniu łódzkiego bogacza kazał się hrabiemu domyślać, iż musiały zajść jakieś ważne wypadki, jeszcze mu nieznane, które to spowodowały, ale ponieważ czas naglił, Rożniewski nie mógł więc nad tem się zastanawiać i tylko krótko przywitawszy się, szepnął parę słów baronowi do ucha.

— Ach — wyrwało się z ust Goldenthala — jestem bardzo zobowiązany panu hrabiemu i natychmiast będę służył.

Poczem ze względu na obecnych w pokoju gości, pozornie dumny z tak wysokich, jak Rożniewscy, znajomości, wyprowadził hrabiego aż do drzwi w postawie niesłychanie, jak na niego, uniżonej.

Kiedy szybko pożegnawszy swoich gości, znalazł się z hrabią za drzwiami, ten zatrzymał barona i przyciszonym głosem odezwał się tonem prośby, w którym jednak dźwięczało zarazem echo groźby.

— Baronie... zechcesz pan mieć wzgląd na moją córkę.

— O, ja wiem sam [illegible] winienem damie z tego towarzystwa i z takieg[illegible]odu — odpowiedział Goldenthal pewny siebie.

Ale kiedy za chwilę, przeszedłszy obok siebie w milczeniu schody i korytarz, weszli do pokoju Rożniewskich, baron całą swą pewność siebie stracił od razu, gdy znalazł się niespodziewanie przed obliczem Wandy.

Nie widział on jej jeszcze nigdy, to też widok jej majestatycznej postaci zaskoczył go znienacka, a klasyczna piękność jej szlachetnej twarzy blade oczarowała go do tego stopnia, że czerwieniąc się, stanął przed nią, jak zażenowany student.

Wanda ze swej strony przyjrzała mu się uważnie zaraz na wstępie, ale spoglądała na gościa z góry z zimną obojętnością.

Jakkolwiek w sercu jej zrywał się krzyk wstydu i boleści na myśl o tem, po co ojciec wprowadził tu w tej chwili owego człowieka, nie dała ani na jedno mgnienie oka poznać po sobie wewnętrznego wzburzenia. Tylko ręką skinęła pełna godności na barona, wskazując mu krzesło.

Usiadł na jej rozkaz pan baron przy stole, a w tejże chwili cała jego indywidualność rozpłynęła się zupełnie i pierzchła pod zimnem a spokojnem spojrzeniem hrabianki.

Wanda zwróciła się do niego, mówiąc tonem bardzo poważnym:

— Wiem o tem sama, w jakim celu hrabia, mój ojciec, urządził tu nasze spotkanie... Wiem tedy, żeś pan, panie baronie, prosił przez mego ojca o moją rękę... Naturalnie znam także i warunki do tego przywiązane...

Chciał coś Goldenthal zaraz na to odpowiedzieć, ale lekki ruch jej ręki nakazał mu zamilknąć. Ona zaś dalej mówiła w tym samym tonie.

— Idzie teraz tylko o to, panie baronie... czy pan się zgodzisz pozostać przy tych samych wiadomych panu warunkach... skoro wysłuchasz, co panu zaraz powiem... Otóż słuchaj pan uważnie: Byłam, uważa pan, byłam hrabianką Rożniewską... obecnie zaś jestem wdową po doktorze medycyny Janie Anielskim... tak panie, jestem wdową oraz matką dziecka, co do którego opieka i troska wogóle została raz na zawsze zapewniona z innej strony...

Wzrok jej spoczywał bez przerwy na twarzy Goldenthala, podczas, gdy mówiła te słowa.

Ale jeżeli oczekiwała w wyrazie jego twarzy jakiegoś zdziwienia i przywiązywała do tego może ostatnią nadzieję — to zawiodła się.

Baron bowiem ani nie drgnął, słuchając wywodów hrabianki, poczem po pewnej pauzie odezwał się tonem głębokim, pochylając się tylko nieco w krześle:

— Nie widzę żadnego poważnego powodu, dla którego miałbym teraz nie spełnić przyrzeczenia, jakie dałem panu hrabiemu, a ojcu pani.

Jakkolwiek odpowiedź barona jednym zamachem zburzyła ostatnie nadzieje Wandy, pod wrażeniem jednak jego wyrazów nie zmieniło się nic w jej twarzy marmurowo bladej. Hrabia Rożniewski zaś, który zdrętwiał słuchając wyznania córki, teraz odetchnął po zadawalającej go w zupełności odpowiedzi Goldenthala.

Potem mimo protestów Wandy i jej ojca, baron kazał podać wino i przekąski, tłómacząc się, że ma szalone pragnienie i pozwoli sobie w przyjemnem towarzystwie przyszłej rodziny wypić kieliszek wina.

— Czy zechce pan — zagadnęła Goldenthala Wanda — pisemnie przyrzec, że pan spełni wszelkie przyrzeczenia dane mojemu ojcu?

— Owszem, proszę pani, natychmiast możemy spisać kontrakt w tej mierze.

— Bo widzi pan, idzie tu o położenie, w jakiem znalazł się mój brat... Czy nie tak, ojcze?

Hrabia Rożniewski skinął głową potakująco.

Za chwilę zaczął baron nieśmiało:

— Przypuszczam, hrabianko, że pani istotnie z własnej woli ofiarowujesz mi rękę nie przymuszona... i że jesteś pani w całem tego słowa znaczeniu świadoma tego kroku, jaki zamierzasz uczynić...

Wanda nic nie odpowiadała, wyglądała jednak tak spokojnie, jak gdyby baron mówił o rzeczach jak najobojętniejszych.

Wtedy Goldenthal nabrał nieco śmiałości i mówił dalej głosem już trochę pewniejszym.

— Będzie to dla mnie doprawdy wielki honor i radość rzetelna, jeżeli będę mógł wielce szanownej rodzinie pańskiej ofiarować do rozporządzenia swoje środki... i będę sobie uważał za obowiązek honoru wobec państwa wywiązać się z danego słowa w jaknajszerszym zakresie... Właśnie udało mi się odzyskać rodowy majątek hrabiów Rożniewskich na Inflantach i cieszę się ogromnie, że pani mogę, hrabianko, ofiarować dziś właśnie do dowolnego rozporządzenia wspaniałe dobra Rożniewo.

Słowa barona nie wydawały się wywierać na Wandę jakiegokolwiek wrażenia, z taką obojętnością słuchała Goldenthala. Natomiast hrabia Rożniewski, który byłby sobie dał krwi utoczyć, byle by módz odzyskać z powrotem dla siebie lub dla swej rodziny najdroższe jego sercu Rożniewo — nie posiadał się w tej chwili z radości i nawet nie potrafił ukryć wrażenia wywołanego oświadczeniem barona.

Po chwili rozmowy rzekła Wanda do Goldenthala:

— Bądź pan tak dobry, panie baronie, załatwić sam z moim ojcem wszystko, czego tylko potrzeba... nie wątpię, że to się da zrobić już i bez mego udziału... A mnie w tej chwili niezbędnie potrzeba spokoju... Zechciej mi pan wybaczyć, że cię muszę pożegnać... Ojcze, ty mnie zrozumiesz chyba.

Rożniewski pocałował córkę w czoło, a Goldenthal złożył przed nią ukłon głęboki, chyląc się jakby przed jaką księżną udzielną, poczem obaj razem opuścili pokój.

Przez kilka minut stała nieszczęśliwa kobieta, jak posąg na środku pokoju, szeroko otwartemi oczyma patrząc na drzwi, poza któremi zniknęli obaj mężczyźni. Wreszcie rzuciła się gwałtownie na łóżko i ukryła głowę w poduszkach, chcąc stłumić łkanie, które ją teraz dopiero mimowolnie napadło, gdy się nakoniec znalazła sama ze swemi smętnemi myślami.

Okropne podejrzenie.

Powróćmy do pałacu księcia Czerskiego w Alejach Ujazdowskich.

Doktor Anielski natknął się w drzwiach, wybiegając oszalały — na Marylkę Reman.



....Właściwie udało mi się odzyskać rodowy majątek hrabiów Rożniewskich na Inflantach i cieszę się ogromnie, że pani mogę, hrabianko, ofiarować dziś właściwe do dowolnego rozporządzenia wspaniałe dobra Rożniowo.

Nieszczęśliwa dziewczyna przeraziła go się niewymownie i jakkolwiek doktor zdążył już zbiedz po schodach na dół, ona jeszcze w progu stojąc na górze, czuła wlepione w siebie spojrzenie jego obłąkanych oczu.

Nie rozumiała nic, co mogła znaczyć ta gwałtowna ucieczka Jana w takim stanie opłakanym wśród nocy, bez kapelusza i okrycia, z pałacu. Ale coś jej szeptało, że w tym domu musiała się rozegrać rzecz niezwykła.

Jak gdyby pod wpływem jakiegoś nagłego acz niejasnego postanowienia, zrobiła krok od progu do środka pokoju, z którego wybiegł przed chwilą Anielski, gdy wtem rozsunęła się portyera w ścianie przeciwległej i z sąsiedniego pokoju wszedł książę Czerski, w którym Marylka domyśliła się gospodarza domu.

Przybył on tutaj zwabiony dziwnym krzykiem, jaki przed chwilką wydarł się z piersi doktora.

Tymczasem zamiast Anielskiego ukazała mu się na końcu pokoju w obramowaniu odrzwi sylweta zupełnie obcej młodej kobiety.

Wzrok jego padł przedewszystkiem na kanapę, na której zauważył martwe ciałko dziecka. Zrozumiał więc odrazu wszystko, a tajemne przeczucie dopowiedziało mu jeszcze, kim może być owa młoda kobieta w rozpaczliwej postawie.

Twarz jego błyszczała jeszcze radością bezgraniczną w chwili, gdy tu wchodził. Teraz zaś przybrała minę chłodną i poważną, z jaką też zbliżył się żywo ku nieznajomej.

Zmierzył ją przenikliwym wzrokiem od stóp do głowy i demoniczne swoje spojrzenie zatopił w trwożliwych oczach nieszczęśliwej.

— Czego pani sobie życzy?... Co panią sprowadza nocną porą do mego domu?

Marylka załamała ręce na piersiach, cisnąc je sobie kurczowo do serca.

— Ja... ja chciałabym... panie... pragnę z panem pomówić.. zapytać przyszłam... Panie! moje dziecko...

I naraz obejrzała się dokoła po pokoju, ale książę z rozmysłu stanął w takiem miejscu, że sobą i stołem zasłaniał zupełnie sofę i leżącego tam trupka.

— Widzę, że pani jesteś w jakiemś nieszczęściu — rzekł tonem nieco cieplejszym — szukasz pani pomocy... w potrzebie pani jesteś, czy nie tak?

Nie wiedziała Marylka co ma począć z sobą pod wpływem jego spojrzenia. Wreszcie myśl nowa wpadła jej do głowy. Pośpiesznie sięgnęła do kieszeni, do której przed samem wejściem do pałacu wcisnęła list anonimowy z dokładnym adresem niebezpiecznego miejsca pobytu jej dziecka.

Wyjąwszy więc papier zmięty, podała go księciu.

Nie bez wahania wziął list Czerski z jej ręki

Przebiegł oczyma z błyskawiczną szybkością treść pisma, a w tej chwili twarz jego zmieniła się nie do poznania.

Trwało to jednak jedno mgnienie oka i wpatrzona w niego kobieta nie mogła była tego zauważyć.

— Znasz pani autora tego listu — surowo spytał, książę przybrawszy już prawie spokojny zwykły wyraz twarzy.

— Nie — nieśmiało szepnęła Maryla.

— Więc od kogóż pani dostałaś ten list — nacierał na nią Czerski coraz ostrzej.

— Nie wiem, panie, skąd jest ten list... nic nie wiem... dziś go dostałam... trudno mi się dziwić, żem tu zaraz po nocy przybiegła... Boże — i płaczem wybuchnęła — moje dziecko... gdzie moje dziecko?

— Panine dziecko... Więc pani szukasz go u mnie... w moim domu... to doskonałe... Jakto, więc pani wierzy w te głupstwa, na seryo pani bierze tę pisaninę, którą ktoś poważył się zadrwić z pani...

Łkając upadła mu do nóg Maryla i ręce błagalnie wznosząc do góry, wołała boleśnie:

— Zlituj się pan nademną... ja... panie, ja...

Mówić nie mogła, tylko nóg jego szukała, chcąc je objąć rękoma, nieprzytomna z wielkiej boleści matczynego serca. A nie widziała nic przed sobą prócz łez strumieni, które jej oczy zalewały.

Książę schylił się ku niej i starał się ją podnieść z podłogi, przyczem mówił tonem serdecznego współczucia i głosem drżącym od wzruszenia na widok wielkiej jej boleści:

— Biedna pani jesteś, widzę, żeś bardzo nieszczęśliwa. Wstańże pani... Poprostu w błąd panią wprowadzono, chciano panią nastraszyć... Ja sam pojmuję cierpienia, jakie to pani sprawić musiało... i współczując boleści paninej, będę się starał jak najchętniej przyjść z pomocą... Owszem, proszę się uspokoić, sam pani pomogę... Ale teraz pójdźże pani za mną... C. d. n.

Igrzyska Olimpijskie.

Jak wygląda, czasów Marka Aureliusza sięgająca, arena, gdzie od kilku dni koncentrują się głównie, na nowo do życia powołane, głośne Olimpijskie Igrzyska? Otóż arena ta, stadyon, leży w południowo wschodniej stronie nowoczesnych Aten, o kilka minut drogi od siedziby króla Jerzego. Przystępujemy do portyku, otoczonego posągami zapaśników, przechodząc przez most na sławnym Ilissosie. Potężne wrażenie, zaraz na pierwszy rzut oka, robią: ogrom amfiteatru, którego stopnie piętrzą się nie na małych pagórkach, ale aż do szczytu prawdziwych gór i nadzwyczajna białość masy marmuru. Następujące cyfry dadzą Czytelnikowi pojęcie o rozmiarach stadyonu. Arena, od wejścia aż do głębi półkola mierzy 189.60 mtr., z czego przypada 12 mtr. na propyleum a 178 na arenę, w ścisłem tego słowa znaczeniu. Szerokość, bez otaczającego ją korytarza, wynosi 35.80 mtr. Szerokość tego korytarza jest różna. U wejścia, tak samo jak w głębi półkola, ma 2.45 mtr., ale dochodzi do 4.60 mtr. we środku, z każdej strony prostopadłej, przechodzącej przez środek osi. Boki amfiteatru nie biegną do siebie równolegle, jak sobie wyobrażano przed wydobyciem pozostałości Panatenajskiego Stadyonu, ale tworzą dwie elipsowate krzywizny, tak zręcznie obliczone, że z każdego z czterdziestu sześciu tysięcy miejsc siedzących amfiteatru można doskonale widzieć, co się dzieje w którejkolwiek części areny, bez potrzeby podnoszenia się albo nachylania. Drugi korytarz, biegnący półkolem amfiteatru, dzieli go na dwie części. Każda część obejmuje dwanaście działów; 24 rzędy miejsc siedzących jest w działach części dolnej, a 22 w działach górnych, a że w każdym rzędzie może wygodnie siedzieć 1.000 osób, cały więc amfiteatr mieści ich czterdzieści sześć tysięcy. Jeden z działów dolnych, w głębi, naprzeciwko propyleum, przeznaczony jest dla dworu, członków rządu i dostojniejszych gości. O ile amfiteatr budzi podziw w widzu, o tyle tor musi do pewnego stopnia rozczarować sportsmenów, przyzwyczajonych do znacznie lepszych w innych krajach Europy i w Ameryce terenów. Szerokość jego wynosi 7 metrów. Doskonały jest do biegów szybkości, na krótką metę, ale mniej dobry, gdy chodzi o 400 metr. i wyżej, z powodu ostrych krzywizn. Dawni Grecy nie widzieli potrzeby innych torów, uprawiając przedewszystkiem biegi szybkości w prostej linii, albo też może widzieli w ostrych łukach naturalną trudność, zwiększającą zasługę szybkobiegacza.

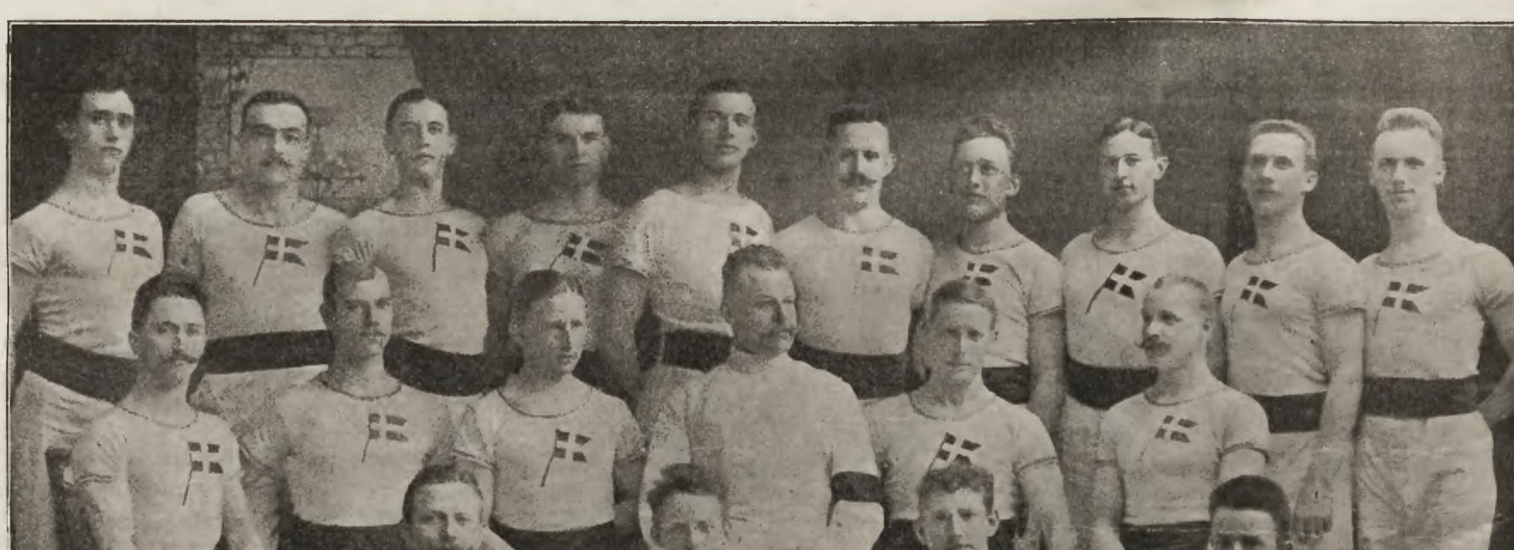
Kiedy widz po skończonych, każdego dnia, zawodach opuszczać będzie stadyon, będzie mógł zobaczyć z lewej strony pozostałości starożytnych Aten, łuk Adryana, ruiny świątyni Jowisza Olimpijskiego, a dalej, w głębi, ponad bukietami drzew pieprzowych, osrebrzonych pyłem, wspaniałe Akropolis ze szczątkami świątyni Minerwy. Dlatego samego już warto było do Aten pojechać!

Sądząc ze spotykanych wzmianek w pismach sportowych o ostatecznych, we wszystkich niemal krajach Europy, przygotowaniach do Igrzysk Olimpijskich, można już teraz być pewnym, że wypadną one imponująco tak pod względem ilości uczestników, jak i jakości w program wchodzących zawodów. Towarzystwa gimnastyczne i sportowe wysłały do Aten wszystko, co mają najlepszego.

Zaznajomimy naszych Czytelników z najwybitniejszymi uczestnikami międzynarodowych zapasów na Igrzyskach Olimpijskich. — Dziś na początek, oprócz podobizny areny — podajemy dwie ładne grupy gimnastyków i gimnastyczek, którzy z Danii udali się do Aten na wielkie uroczystości sportowe. Nadto zamieszczamy rycinę przedstawiającą czterech najwybitniejszych gimnastyków angielskich — światowej sławy — którzy biorą udział w zapasach ateńskich jako niezrównani szybkobiegacze.



Igrzyska Olimpijskie: Grupa najznakomitszych gimnastyczek duńskich, biorących udział w wielkich międzynarodowych zapasach na Igrzyskach Olimpijskich w Atenach.



Igrzyska Olimpijskie: Grupa najznakomitszych gimnastyków duńskich, biorących udział w wielkich międzynarodowych zapasach na Igrzyskach Olimpijskich w Atenach.

Zwycięstwo „Kadetów“.

Odniesione podczas obecnych pierwszych w Rosyi wyborów do Dumy państwowej wielkie zwy-

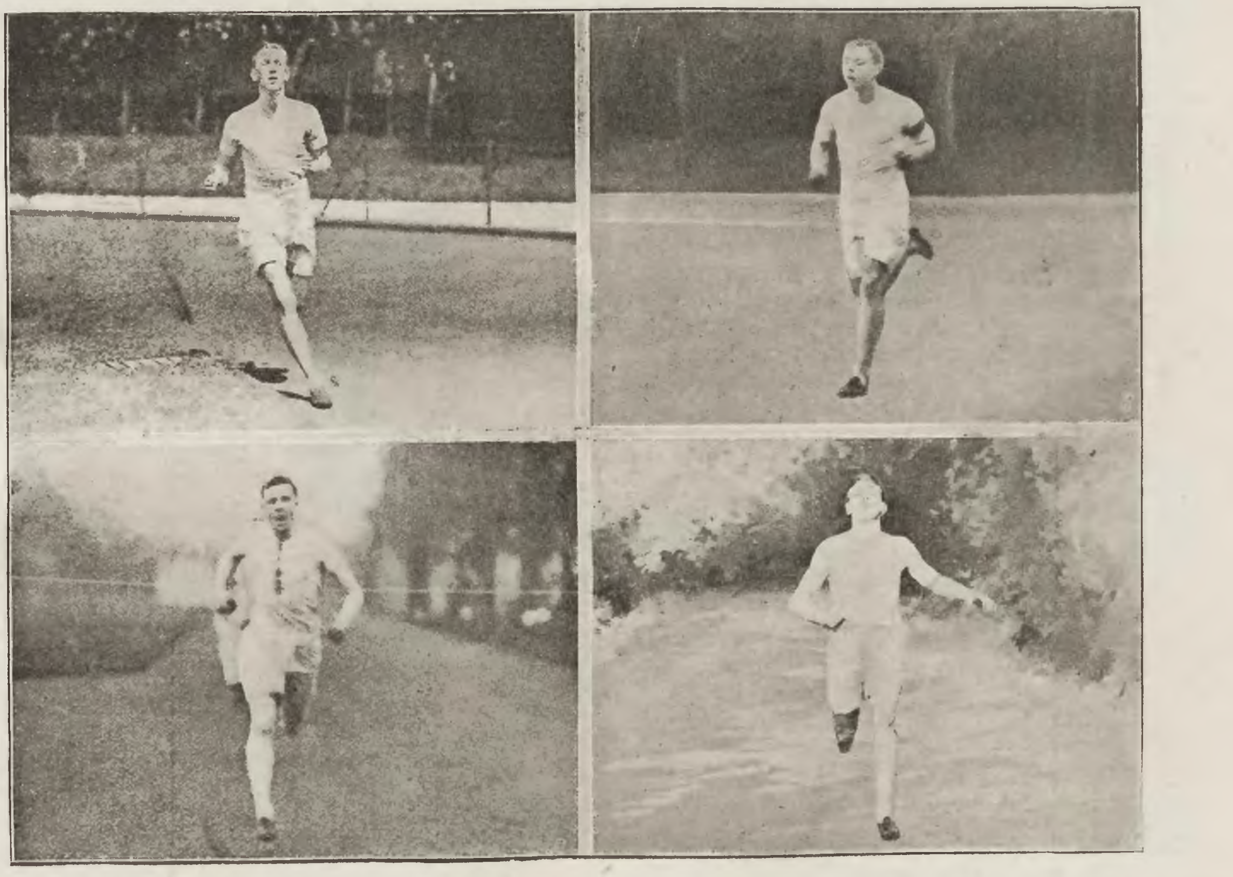
cięstwo partyi konstytucyjno-demokratycznej (K. D.) zwanej w skróceniu „Kadetami“, zwróciło uwagę powszechną, tembardziej, że mało kto dotąd wiedział u nas, jakie są — poza autonomią Polski, czego właśnie domaga się ono — jego cele i dążności. Historya powstania tego stronnictwa, jak zresztą i wszystkich innych partyj politycznych w Rosyi, jest niedawną. W r. 1904 powstał związek „oswobodždienja“, który zjednoczył cały szereg grup o kierunku opozycyjnym. Związek ten pokrył całą Rosyę siecią grup samorządnych. Na jednym ze zjazdów powstał organ główny związku: „Rada“, której należy się zaszczyt zwołania słynnego zjazdu ziemców w dniu 19 listopada 1904 r. w Petersburgu, gdzie zaznaczono wytyczne punkty programu partyi. W październiku następnego roku odbył się w Moskwie zjazd ziemców konstytucyonalistów i członków „oswobożdienja“ na którym postanowiono utworzyć partyę konstytucyjno-demokratyczną i opracowano jej program. Tym sposobem partya utworzyła się z grupy „oswobożdjeńców“ i części działaczy ziemskich i miejskich. W skład jej wchodzą: postępowa inteligencya, wybitni działacze społeczni, uczeni, literaci, grupy studentów i robotników, a także przedstawiciele wielu związków. Organami wykonawczymi partyi są zjazdy ogólne i miejscowe, a nadto komitety centralne i gubernialne. Zjazdy ogólne uzupełniają i rozwijają program i dokonywują wyborów do komitetu centralnego, który kieruje działalnością całej partyi. Ta dzieli się na dwa odłamy: lewica dąży do przedstawicielstwa jednoizbowego, prawica godzi się na parlament, składający się z izby wyższej i niższej. Oba odłamy jednak uznają miejscową autonomię kresów na podstawie przedstawicielstwa okręgowego. Partya domaga się wolności słowa, prasy, związków, zgromadzeń i mów, nietykalności mieszkań i jednostki, oraz powszechnego równouprawnienia obywatelskiego, a temsamem przyznania praw wyborczych kobietom. W dziedzinie oświaty żąda partya demokratyzacyi i centralizacyi oświaty, nauczania powszechnego, obowiązkowego i bezpłatnego w szkole początkowej. Spraw wojskowych Kadeci nie dotykają wcale, za to doniosłych reform domagają się w sprawach rolnych i robotniczych, a także w kwestyach ekonomiczno finansowej natury. — W dziedzinie sądownictwa żąda partya konstytucyjno-demokratyczna rewizyi ustaw sądowych i wprowadzenia skazania warunkowego i odpowiedzialności na zasadach ogólnych.

* * *

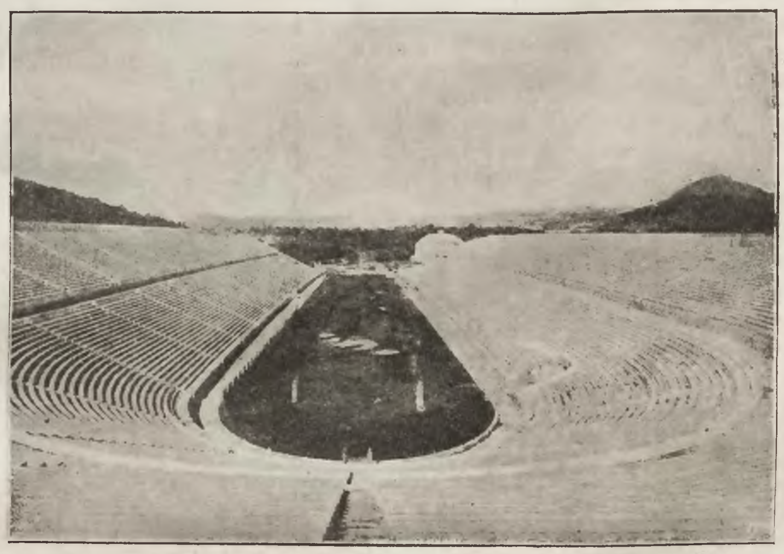
Pierwsze kroki parlamentaryzmu, a raczej przygotowań do niego w Rosyi, zostającej dotychczas wyłącznie pod rządami absolutnymi, zaciekawiły naturalnie cały świat, który pilnie zwraca uwagę na wybory w miastach i po wsiach rosyjskich, podobnie jak my śledzimy przebieg ich ze względu na to, która partya będzie miała większość w Dumie. To też niewątpliwie i naszych Czytelników zainteresują charakterystyczne obrazki wyborcze na podstawie fotografij, zdjętych na miejscu podczas wyborów miejskich w Moskwie i w typowej wsi rosyjskiej.

Po wybuchu wulkanu.

Wezuwiusz od trzech niemal wieków bezustannie działa i nie zagrażał trwale okolicy: dlaczego właśnie obecny wybuch był połączony z niebezpieczeństwem? — Otóż należy zwrócić uwagę, że wybuchy tego samego wulkanu mogą być rozmaite, stosownie do swej jakości i siły. Dość wspomnieć o wybuchu z r. 79, kiedy Pompei zostało zasypane warstwą żużli i popiołu, grubości na kilka metrów. Przeciwko tego rodzaju wybuchom niema



Igrzyska Olimpijskie: Najznakomitsi gimnastycy angielscy, którzy jako szybkobiegacze biorą udział w międzynarodowych zapasach na Igrzyskach Olimpijskich w Atenach.



Igrzyska Olimpijskie: Historyczna arena grecka, na której odbywają się wobec monarchów wielkie międzynarodowe zapasy na wzór starożytnych Igrzysk Olimpijskich.

żadnej rady, dobrze jeszcze, jeśli ludzie mogą uratować życie. Najzwyklejszem zjawiskiem jest stały wypływ lawy. Niema prawie turysty, któryby nie mógł się pochwalić, że podziwiał z zatoki neapolitańskiej białe dymy, dobywające się z krateru; siły wulkaniczne Wezuwiusza zostały w ostatnich latach niejako „oswojone“ dla ruchu turystycznego. Nocna wycieczka na górę, ziejącą ognistą lawą, była dla wielu podróżnych efektownem wspomnieniem, które ich kosztowało trochę podniecenia i niewiele odwagi.

Od r. 1872 nie wyrządziła nigdy lawa żadnej większej szkody; zadowoliła się co najwyżej nieznacznem uszkodzeniem kolei Cooka lub sąsiednich plantacyj. Sami okoliczni mieszkańcy jednak zachowywali się wobec tego zwyczajnego zjawiska zupełnie obojętnie, a raczej cieszyli się ze starego sąsiedztwa, które zwabiało tysiące ciekawych. Żeby to zrozumieć, trzeba pamiętać, że tylko najniższa strefa pochyłości Wezuwiusza jest



Zwycięstwo „Kadetów“: Scena z wyborów do Dumy państwowej, na wsi w głębi Rosyi.

okolona wieńcem wsi i ogrodów. Wszystko, co leży ponad 500 m. nad poziom morza, jest porosłe krzakami i chwastem, albo przedstawia się jak kamienista



Zwycięstwo „Kadetów“: Scena z wyborów miejskich w Moskwie na posłów do Dumy państwowej.

pustynia. Dopóki więc lawa nie wkroczy w niższe, urodzajne sfery, dopóty jest dla mieszkańców zupełnie obojętną, gdyż nie zagraża winnicom ani ludzkim siedzibom. Tak też było od lat 300. Dopiero przez obecne wybuchy sytuacya stała się groźną.

W końcu kilka uwag o tem, jak wygląda taka lawa. Przedewszystkiem lawa nie płynie, ale się toczy, jak wał żużli. W ciemności świeci się rozżarzona masa, z której wybuchają palące się gazy; za dnia żar ten zaledwo się widzi. Żużle rozpalone spadają na pola, wsie i ogrody, zamieniając w dymiącą pustynię zielony, kwitnący kraj.

Wezuwiusz ustawicznie prawie znajdował się w stanie wybuchowym. Z krateru jego zawsze wychodziły gęste masy dymu, ale okoliczni mieszkańcy tak się już do tego przyzwyczaili, że nie podejrzywali olbrzyma o złe zamiary, chociaż Wezuwiusz nigdy nie zasługiwał na zaufanie. Starożytni naprzykład uważali go aż do roku 63 po Chrystusie za wulkan wygasły, złudzenie to rozwiało się po wielkim wybuchu w roku 64, a zwłaszcza w roku 79, kiedy lawa, wyrzucona z krateru Wezuwiusza, zasypała doszczętnie trzy kwitnące podówczas miasta, Herculanum, Pompei i Stabiae. Po tym wybuchu, największym, jaki znamy w historyi, następowały aż do roku 1139 gwałtowne wybuchy w pewnych odstępach czasu. Dopiero po wielkim wybuchu w 1139 roku Wezuwiusz się uspokoił, stoki jego zarosły krzakami, choć z krateru stale wydobywał się słup dymu, jakby przestroga dla okolicznych mieszkańców, że w piersi olbrzyma wre i gotuje się żar, który niezadługo rozsadzi znów skorupę ziemską, niosąc śmierć i zniszczenie wokoło. Spokój jednak trwał dosyć długo, bo aż do roku 1631, kiedy znowu nastąpił straszliwy wybuch, którego ofiarą padło 3.000 ludzi. Odtąd następowały znowu co pewien czas wybuchy, z których najgroźniejszym był wybuch w roku 1794, kiedy lawa zniszczyła doszczętnie miasto Torre del Greco. W XIX wieku miały miejsce dwa wybuchy, jeden w roku 1822, drugi w 1872, obydwa straszne w skutkach.

* * *

Jak zwykle podczas wybuchu, tak i obecnie kształt wulkanu zmienił się zupełnie. Główny krater obniżył się o dwieście pięćdziesiąt metrów. Stożek wygląda, jak gdyby ostrą obcięty brzytwą.



Po wybuchu wulkanu: Furgony wojskowe wywożą uciekających z wiosek, pod Wezuwiuszem położonych, mieszkańców, którzy uratowali się z katastrofy.

Korespodent, który z kilku towarzyszami usiłował dostać się na szczyt Wezuwiusza, opisuje w jaki sposób utworzył się na wulkanie nowy krater, skutkiem którego wygląd plastyczny góry zmienił się. „W pochodzie nader utrudzającym — pisze korespondent — uszliśmy pod górę około 7 kilometrów (oczywiście nie w linii prostej) po pokrytych żużlami polach. W okolicy miejscowości Spaccata — tak nazwanej od rozpadliny, jaka się tam w roku 1854 utworzyła — zauważyliśmy, że ziemia faluje pod naszemi stopami, jak pierś ciężko oddychającego człowieka. Nagle tuż za nami rozstąpiła się ziemia, otwierając głęboką przepaść, zionącą na nas gorącą wodą oraz popiołem. Zabójcze gazy utrudniały oddychanie, a obłok dymu zakrył wszystko naokoło. Zdawało się nam, że zbliża się śmierć. Z rozwartej czeluści buchała płynna lawa, której strumień otaczał nas dokoła, grożąc odcięciem. Podczas, gdyśmy w szybkiej ucieczce szukali ocalenia, następowały jedne po drugich nowe eksplozye i wybuchy gorącej wody i żarzącej się masy. W pobliżu nas otwarła się druga, a wnet potem trzecia czeluść. Wdrapaliśmy się na wzniesienie, utworzone ze starej, skrzepłej lawy i tutaj dopiero uczuliśmy bezpieczny grunt pod nogami. W tej chwili przedstawiała góra straszliwy, imponujący swą grozą widok. Z górnego, obecnie rozpadniętego stożka, buchały w górę jaskrawo rozbłyskujące tysiączne płomienie, odbijające się słabem światłem w chmurach mgły i dymu“.

* * *

Przez dwa tygodnie blisko uwaga całego świata skupiała się na niewysokiej stosunkowo górze, panującej nad zatoką neapolitańską, na Wezuwiuszu, tym starym buntowniku, który zdawał się zanikać na uwiąd starczy. Pierwsze wiadomości o wybuchu i zniszczeniach, przezeń dokonanych, były ze zrozumiałych zresztą powodów albo za mało prawdziwe, albo grubo przesadzone, co się da łatwo wytłómaczyć pierwszem wrażeniem, jakie na nieszczęśliwej ludności wywrzeć musiała katastrofa. Dzisiaj, kiedy Wezuwiusz już się uspokoił, zaczynają nadchodzić sprawozdania, w których cały obraz zniszczenia podany jest na trzeźwo, bez rozgorączkowania.



Po wybuchu wulkanu: Cisnący się do bram Neapolu wieśniacy, którzy z życiem zdołali uciec z miejscowości zniszczonych lawą w czasie wybuchu Wezuwiusza.

Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć odrazu, że wybuch Wezuwiusza w bieżącym miesiącu należy stanowczo do największych, jakie znamy. Przewyższa go jedynie wybuch w roku 79, który trzy kwitnące miasta pogrzebał w lawie i popiele. Katastrofa, jaka przed kilkunastu dniami miała miejsce, była straszna; żywioł ognisty sypał gradem kamieni i popiołu, zionął z siebie płynną, gorejącą lawę, a dopomagały mu chmury, które ciężką oponą zawisły nad Wezuwiuszem i spadły na ziemię rzęsistym deszczem; ponadto przez kilka dni szalał wicher. Tak więc wszystkie cztery żywioły, ziemia, ogień, woda i powietrze sprzęgły się razem, aby dokonać olbrzymiego działa zniszczenia, jakby na dowód, że natura drwi sobie z tych, co ją okiełzać pragną.

W Palmową niedzielę zaczął Wezuwiusz buchać lawą ognistą i gorszym od niej jeszcze popiołem. Popiół ten, zmieszany z deszczem, utworzył gryzący szlam, który na kilkanaście kilometrów wokół Wezuwiusza zniszczył zupełnie pola i winnice. Lawa zniszczyła w swym pochodzie z północy na południowy wschód aż do miasteczka Boscotrecase wszystkie wille i domki, zniszczyła znaczną część samego miasta i dotarła aż do Torre Annunziata, z którego prawie wszyscy mieszkańcy uciekli. Nie strumień już, ale morze lawy rozlało się u stóp Wezuwiusza, a wszędzie gdzie się zatrzymać musiała, piętrzyła się w stygnących bałwanach na wysokość domów. Siła prądu lawy była tak wielka, że kolumny o kilku metrach średnicy waliły się jak domki z kart, za powiewem wiatru. Fakt, że lawa zatrzymała się przed Torre Annunziata nazwać by można

po prostu cudem. Coprawda oprócz naturalnych przeszkód natknęła się ona i na przeszkody sztuczne, ręką ludzką naprędce wzniesione. Zaniechano bowiem sypania wałów, które lawa zmiatała z powierzchni, natomiast wzięto się do kopania głębokich rowów, w których lawa piętrzyła się spieniona, zastygała i sama przeciw sobie tworzyła wał ochronny. Szczególniejszą energię wytężyć musieli pionierzy w pracy nad odwróceniem strumieni lawy do Pompei, które niedawno zostało z pod lawy wydobyte i stanowi dzisiaj najpiękniejsze muzeum starożytności, tem oryginalniejsze, że — pod gołem niebem.

Prócz will i Boscotrecase zniszczył wulkan także kolej obwodową i jej potężne południowe



Po wybuchu wulkanu: Widok z corsa Wiktora Emanuela w Neapolu na zatokę Neapolitańską i Wezuwiusz, w czasie groźnego deszczu popio u, wyrzucanego z krateru wulkanu.

stoki, na zachodzie kolej linową Cooka i obserwatoryum. Dalej uległa zniszczeniu strona północnowschodnia ku Ottajano i przysiółek San Guiseppe Vesuviano, oraz na stronie północno-zachodniej część okolicy ku San Sebastiano. Jakie są straty poniesione na polach, tego dziś jeszcze obliczyć nie można. Ze względu jednak na to, że grunta u stóp Wezuwiusza należą do najdroższych we Włoszech, że dalej uprawa gruntu na długie czasy stała się niemożliwą, ten ogrom nieszczęścia ocenić byłoby trzeba conajmniej na kilkaset milionów lirów. Do strat w polu doliczyć jeszcze trzeba straty w domach, których kilka tysięcy padło pod ciężarem popiołu i żużli, co wyniesie również kilkanaście milionów. Strat w ludziach było stosunkowo nie wiele. Zginęło kilkaset osób.

* * *

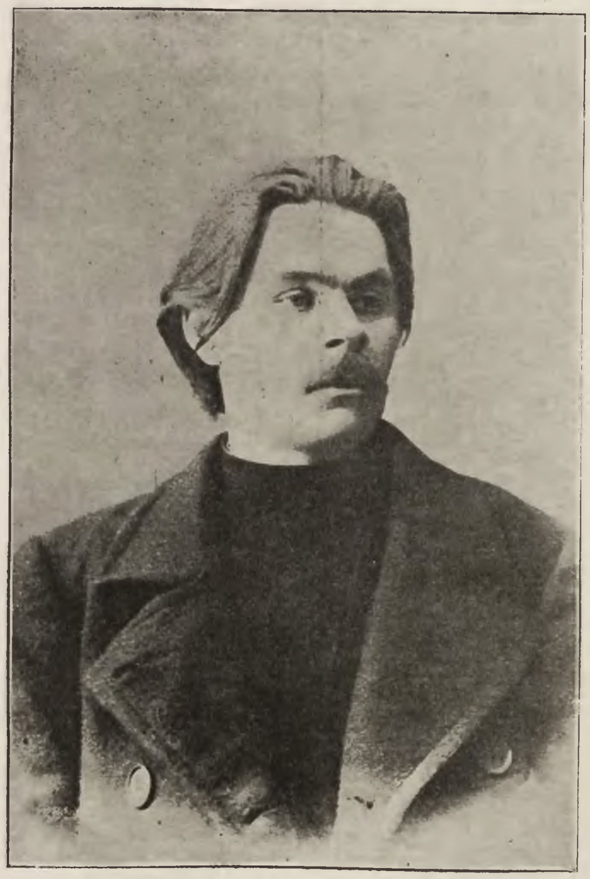
Oprócz czterech rycin, zamieszczonych obok niniejszego artykułu, znajdzie Czytelnik więcej jeszcze ilustracyi do katastrofy wulkanicznej na innych stronicach, ze względów bowiem technicznych byliśmy zmuszeni przenieść je do dalszej części numeru.

Gorkij w opałach amerykańskich.

Znakomity dramaturg i nowelista rosyjski, znany u nas dobrze z książek i ze sceny, Maksym Gorkij, wybrał się przed miesiącem w dłuższą podróż po obu półkulach. Celem tej podróży było zebranie środków pieniężnych na rewolucyę rosyjską. Gorkij miał wygłaszać odczyty, które ze względu na imię i sławę autora „Mieszczan“ powinny się cieszyć poparciem całego świata. Liczył na to Gorkij, a liczyć mógł śmiało, bo geniusz jego zachwycał tysiące widzów w teatrach na całym świecie, tysiące czytelników jego wspaniałych utworów; liczyli na to i rewolucyoniści rosyjscy.

Pierwszym etapem jego podróży był Berlin, gdzie się Gorkij przez dwa tygodnie zatrzymał, przyjmowany owacyjnie przez publiczność, zasypywany interwiewami. Z Berlina wybrał się autor „Letników“ do Ameryki.

Ameryka zgotowała mu wspaniałe przyjęcie W Nowym Jorku, w przystani północno-niemieckiego Lloydu, oczekiwały setki tysięcy ludności przybycia okrętu, na którym znajdował się Gorkij. Wśród czekających przeważali emigranci rosyjscy. Gdy Gorkij stanął na lądzie, wśród tłumów zapanował nieopisany entuzyazm, wiele kobiet płacząc głaskało go po włosach. Na wstępie musiał się Gorkij poddać zwyczajnym formalnościom, które jednakże w myśl instrukcyi z Waszyngtonu, ograniczono do najważniejszych. Inspektor emigracyjny zapytał, czy jest anarchistą, czy też uznaje prawa, obowiązujące w Ameryce. Gorkij uśmiechnął się i odpowiedział: „Nie jestem anarchistą, jestem socyalistą, wierzę w prawo i porządek“. Podróż jego zapowiadała się świetnie,



Gorkij w opałach amerykańskich: Wielki pisarz rosyjski Maksym Gorkij, którego przygody w Ameryce nabrały teraz tyle rozgłosu.

tymczasem nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystko się na drugi dzień zmieniło.

Entuzyazm, okazywany Gorkiemu w dniu przybycia, przemienił się odrazu w wielką niechęć. W prasie amerykańskiej pojawiły się notatki, inspirowane przez rosyjskich ajentów, że Gorkij porzucił żonę i troje dzieci bez środków do życia, a podróżuje z kochanką, co oburzyło etyczne uczucia Amerykanów. I oto odrazu zamknęły się przed nim wszystkie domy, literaci nowojorscy ze słynnym Mark Twain'em na czele zaniechali urządzenia uczty na jego cześć, odwołano również zapowiedziany na jego uczczenie bankiet w Bostonie, we wszystkich hotelach odmówiono mu mieszkania, tak, że z trudem udało mu się zamieszkać u jednego z najbliższych przyjaciół.



Po wybuchu wulkanu: Toczące się ze stoków Wezuwiusza potoki lawy niszczą winnice w Boscotrecase, na których zagładę patrzą z boku zrozpaczeni właściciele, chroniąc się przed deszczem popiołu pod parasolami.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

6 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Nie otrzymał odrazu odpowiedzi. Spojrzał więc lekarzowi w twarz. Przebijała z niej taka boleść ogromna, że detektyw poznał odrazu, iż tego człowieka łączyło z hrabiną coś bardzo wielkiego i bardzo świętego. Domyślił się prawdy.

— Niech się pan opamięta, panie doktorze, nie ma potrzeby odrazu przypuszczać rzeczy najgorszych. Przecież przy przewożeniu łódką mógł hrabinie wypaść grzebień do wody. Na wszelki jednak wypadek uwiadomię o tem policyę, która zarządzi przeszukanie rzeki na tej przestrzeni.

Doktór Stürmer nic nie odpowiedział; bezwiednie dał się wyprowadzić z nad rzeki, a głos jego brzmiał bezdźwięcznie prawie, kiedy pytał:

— Co pan teraz czynić zamierza?

— Po przeszukaniu rzeki, co, jak sądzę, nie pozostanie bez rezultatu, ogłoszę plakatami, że dam dwa tysiące marek temu, kto mi udzieli jakichkolwiek wskazówek, tyczących się zniknięcia hrabiny Pardua.

Stosownie do zarządzeń Steina przeszukano rzekę bardzo skrupulatnie, ale zwłok młodej hrabiny nie znaleziono. Zagraj stracił wszelki ślad; widocznie zbrodniarz wsiadł do doróżki i zatarł ślad po sobie.

Nie mówiąc do siebie ani słowa, powrócili obaj panowie do pałacu Solmsów. Hrabia wybiegł na schody na ich spotkanie. Ujrzawszy detektywa i lekarza, wracających bez Erny, zachwiał się i omal nie upadł. Doktór Stürmer, który był przekonany, że hrabia Erny nigdy nie kochał, zmienił odrazu swoje zdanie.

Ale nie zdołał wykrztusić ani jednego słowa, aby go pocieszyć, bo gardło zatykała mu żałość i wstręt do człowieka, który mu skradł jedyne szczęście. Boleść rosła w jego sercu; mówił sobie, że hrabia mógł był zostać w domu, przy żonie, a nie siedzieć w klubie, to nieszczęście z pewnością byłoby nie zaszło. I nagle powstało w jego duszy straszne podejrzenie. Okropna myśl rozpaliła się w jego mózgu. Mówił sobie, że chyba obłęd go się czepia, a jednak myśli tej nie mógł się pozbyć.

Tymczasem Stein porozumiał się z hrabią co do wyznaczenia nagrody. Hrabia zgodził się natychmiast.

Komisarz Stein wynajął sobie pokoik w pobliżu pałacu hrabiego. Wracając więc ze szpitala od bezimiennego udał się teraz do swego nowego mieszkania.

Na słupach i rogach ulic rozlepiano właśnie wielkie czerwone afisze, około których gromadziły się setki ludzi, czytając o wyznaczeniu 2.000 marek nagrody dla tego, ktoby choć w części mógł rozświetlić tajemnicę zniknięcia hrabiny i podać wskazówki komisarzowi Steinowi przy ulicy Lwiej nr. 25.

Coraz więcej ludzi gromadziło się około tych afiszy, głośno rozmawiając i gestykulując.

— Policya może sobie oszczędzić trudu — usłyszał Stein, który się wmieszał w tłum — teraz cały świat, to istna Sodoma i Gomora; niema dnia, żeby dzienniki nie doniosły o jakiem morderstwie, a mordercy chodzą sobie spokojnie, bo schwytać ich niepodobna — narzekała jakaś stara babula z wielką książką do nabożeństwa pod pachą.

— Tak, tak, moja pani — odparła druga — musieli biedaczkę zamordować. Bóg wie, gdzie ona teraz leży.

Takie i tym podobne rozmowy rozbrzmiewały naokoło. Policyanci mieli dość roboty z utrzymaniem porządku na ulicach, bo ludzi gromadziło się koło plakatów coraz więcej.

Stein poszedł do swojej nowej kwatery, ale zaledwie zdjął płaszcz, kiedy do pokoju wszedł jakiś obdartus i rzekł:

— Chcę zarobić dwa tysiące marek. Wiem, gdzie się teraz znajduje hrabina Pardua.

ROZDZIAŁ XI.

W starym młynie.

Wróćmy się znowu do mieszkania pięknej Ilony Barrison.

— Czego sobie panowie życzą? — zapytała tancerka, patrząc z dobrze udanem zdziwieniem na wchodzących do pokoju policyantów.

— Szukamy zbiegłego z więzienia rzezimieszka, nazwiskiem Huhle, który jeszcze przed minutą znajdował się w tym pokoju.

— Więzień w moim buduarze? — wybuchła przerażona — więc miałby się tutaj ukryć?

— Wiesz pani o tem chyba lepiej odemnie — odparł sucho wachmistrz — proszę mi pokazać mieszkanie pani!

Ilona zbladła.

— Sądzisz pan rzeczywiście, że ja u siebie ukrywam zbrodniarza? — spytała drżącym ze strachu głosem — proszę, w takim razie proszę przeszukać moje mieszkanie, wszystkie pokoje stoją otworem. Mogę panu tylko oświadczyć, że bez mej wiedzy nikt się w mem mieszkaniu znajdować nie może.

— To się zaraz pokaże — odparł surowo wachmistrz, głęboko przekonany, że przed chwileczką widział jakiegoś człowieka, wpadającego do przyległego pokoju. Udał się więc do niego w towarzystwie urzędnika, a policyanta zostawił przy drzwiach na straży. Ilona poszła za nimi; ręka jej, w której trzymała śliczną porcelanową lampę, drżała ze strachu i wzruszenia.

Wachmistrz wraz z urzędnikiem przeszukali bardzo skrupulatnie każdy kąt, ale nie znaleźli ani śladu po zbiegu. Doszli nareszcie do ostatniego pokoju.

Czy to było odbicie bladego światła lampy, czy też ze wzruszenia, dosyć, że twarz Ilony zbladła jak płótno. Zdawało się, że ani kropli krwi w niej nie zostało.

— Proszę panów — rzekła — radziłabym panom raczej nie wchodzić do tego pokoju.

— Obawia się pani może, że tutaj znajdziemy zbrodniarza? — spytał ostro wachmistrz.

— Gdybym wiedziała, że on się tutaj znajduje, byłabym panów odrazu tu zaprowadziła. Pańskie podejrzenia, panie komisarzu, są dla mnie obrazą, o której nie zapomnę.

Nie otrzymała odpowiedzi. Wachmistrz podszedł do drzwi i otworzył je. W pokoju było zupełnie ciemno. Cóż tam jednak zobaczył, że natychmiast cofnął się przestraszony?

— Zechce mi pani może podać lampę? — poprosił i odważnie wszedł do wnętrza.

— Nie zbliżaj się pan zanadto — ostrzegała Ilona, ale w tejże chwili dało się z głębi słyszeć gniewne warczenie, a zaraz potem podniósł się z pod zaciemnionego okna olbrzymi pies nowofundlandzki.

Ilona chwyciła szybko za bat, wiszący przy drzwiach i strzeliła parę razy w powietrzu.

— Cicho, Lord — zawołała na psa, ciągnąc go do kąta, poczem, zwróciwszy się do przestraszonych urzędników dodała:

— Tak, moi panowie, teraz możecie panowie przeszukać i ten pokój. Na razie przez chwilę psa sama potrzymam. Nie bójcie się panowie, Lord jest mi nadzwyczaj posłuszny.

Rozglądnęli się tylko pobieżnie po pokoju i zaraz wyszli. Ilona zamknęła drzwi, a na ustach jej pojawił się szyderczy uśmiech.

— Teraz pan chyba zadowolony, panie wachmistrzu? — spytała. — Przeszukałeś pan przecie całe moje mieszkanie.

— Moi ludzie — odparł wachmistrz, wcale nie zbity z tropu — widzieli, jak zbieg wpadł do tego domu, widzieli nawet, że wszedł do mieszkania pani.

Tancerka, zamiast odpowiedzi, zawołała swej pokojówki, a kiedy dziewczyna weszła, rzekła do niej:

— Panowie ci twierdzą, że jakiś zbiegły więzień dzwonił do naszego mieszkania i że tu nawet wszedł.

— Nic o tem nie wiem — odparła, mierząc komisarza szyderczem spojrzeniem.

Spostrzegli, że dłużej nie mają co robić i wyszli. Na schodach jednak jeszcze wachmistrz, szarpiąc niecierpliwie swą siwiejącą już brodę, ozwał się:

— Dałbym jednakże głowę za to, że ta tancerka ukrywa u siebie zbrodniarza.

Tymczasem Ilona poszła do ostatniego pokoju.

— No, Lordzie, teraz możecie znowu być sobą! — zawołała.

Pies podniósł się, przyczołgał się do drzwi i naraz olbrzymi łeb psi spadł, a zamiast niego ukazała się czerwona od picia twarz byłego baletmistrza, który zaraz potem, zobaczywszy, że mu już nie grozi niebezpieczeństwo, zrzucił z siebie skórę psa i prostując się, zawołał:

— Ilonko, miałbym ochotę rzucić ci się na szyję z wdzięczności.

— Tego nie rób — odparła — ale zrób mi jedną łaskę: uchodź stąd zaraz, bo nie ręczę, czy drugi raz zdołałabym tak długo trzymać moje nerwy na wodzy.

— Idę zaraz, Ilonko, natychmiast — ale musisz mi dać trochę grosza, bo jestem strasznie goły.

— Ile chcesz?

— Trzysta marek.

— Oszalałeś, czy co? — wybuchła Ilona. — I to nazywasz: trochę grosza?

— Eh, cóż to jest dla ciebie. Przecież co wieczór otrzymujesz kilka bukietów, a prawie w każdym z nich znajduje się czek na tysiąc lub więcej marek. Dajże mi więc tę odrobinę, a zaraz się ulotnię.

Twarz Ilony pokryła się chmurą gniewu, ale mimo to poszła do biurka i rzuciła swemu byłemu nauczycielowi szlachetnej sztuki tańca trzy stu markowe papiery pod nogi.

— A teraz wynoś się i nie pokazuj mi się na oczy.

— Idę już, idę — mówił rzezimieszek, podnosząc drżącemi rękoma niebieskie kwitki.

Po jego wyjściu Ilona otworzyła okno i stanęła przy niem, aby się trochę orzeźwić z przebytych wrażeń.

— Ten łajdak Huhle — mówiła do siebie wściekła — będzie mnie teraz ssał, jak wampir. Już się od niego nie odczepię. Łajdak!

Tymczasem Huhle szedł pryncypalną ulicą w cieniach domów, oglądając się trwożliwie co chwila, czy przypadkiem policya go jeszcze nie ściga. Dopiero kiedy się znalazł na przedmieściu, w wąskich i brudnych uliczkach, zwolnił kroku.

Ulice były zupełnie puste. Naraz zobaczył w jednym z zaułków jakieś indywiduum, wlokące się powoli, jakby obarczone jakim ciężarem. Stanęło właśnie na chwilę, widocznie, aby trochę odpocząć, ale zerwało się znowu, gdy ku niemu zbliżył się Huhle.

— Jaśku! Czyżeś to ty? — zawołał. — No, no, gdzież cię to dyabli niosą? Cóż to niesiesz w tym woreczku?

Człowiekiem, którego Huhle spotkał na tej zacisznej ulicy był nie kto inny, jeno brat pięknej tancerki Ilony. Usłyszawszy tuż przed sobą basowy głos Huhlego, przestraszył się zrazu, ale go zaraz poznał, wiedział bowiem już dawno, że były baletmistrz, a jego nauczyciel, zeszedł na psy.

— Cóż to dźwigasz we woreczku? — spytał Huhle powtórnie i chciał się sam o tem przekonać, ale klown odepchnął go gwałtownie.

— Żebyś mi jej nie dotknął! — zawołał — to moja kochanka, która nagle zachorowała. Niosę ją właśnie do swego domu; możebyś mi pomógł odrobinkę!

— Z przyjemnością — odparł Huhle, nie bardzo wierząc jego słowom.

— No, w takim razie bierz ją — rzekł Jan — a ja się znam na grzeczności i znajdę dla ciebie parę marek.

W milczeniu szli obydwaj po pustych jeszcze zupełnie ulicach, nareszcie stanęli przed ponurym, poszarpanym domem, już powoli się zapadającym. Po małych, drewnianych schodkach, które lada chwila groziły zawaleniem, weszli do wnętrza. Naprzeciw nich stała stara, do czarownicy podobna baba, trzymając w jednej ręce lampę, w drugiej kij, którym się podpierała.

— To ja, matko Wilding, ja, Jasiek Barrison, a to mój przyjaciel. Chciałbym wam dać zarobić ładną sumkę grosza.

— No, chodźcie bliżej — mruknęła stara opryskliwie — a co to niesiecie ze sobą?

Brat tancerki nie odpowiedział, jeno złożył ciężar na starej, podartej kanapie, stojącej przy ścianie i odwinął płachtę, w którą otulił swoją ofiarę. Huhle krzyknął zdziwiony — „A“! — starszka zaś aż podniosła lampę do góry. Blade jej światło padło bowiem na przepiękną, czaru i uroku pełną twarzyczkę kobiecą. Bolesny wyraz jej kurczowo zaciśniętych warg wzruszył Huhlego do głębi, że jednak opryszek ten był jeno zmysłowem bydlęciem, więc wzruszenie ustąpiło, a Huhle zaczął jeno mlaskać ustami, jak znawca wina, który nową napoczął butelkę. Staruszka mruczała coś pod nosem, wreszcie spytała:

— Cóż mam zrobić z tą kobietą!?

— To moja kochanka; wy, matko Wilding, pilnujcie jej, jak oka w głowie, dobrze was za to wynagrodzę. Przyjdę tu jutro rano, to pomówimy o reszcie.

— Boisz się pan, żeby panu kochanka nie uciekła? Widocznie pana nie znosi — mówiła stara.

— To was nic nie obchodzi! — mruknął Jan. —

Pilnujcie jej, jak się patrzy, a ja będę umiał to ocenić.

— W takim razie weź pan dziewczynę i zanieś na górę do spiżarni; drzwi się tam dobrze zamykają, więc stamtąd chyba nie czmychnie.

Po chwili Huhle i brat tancerki powrócili.

— Więc raz jeszcze, matko Wilding. Odpowiadacie mi za to, żeby ta gąska nie uciekła, jak przyjdzie do przytomności.

— Niema obawy — odparła stara — jednak jak długo ma ona tu zostać?

— Tak długo, dopóki jej nie wezmę do siebie — brzmiała odpowiedź. — Macie tu kilka marek, a dbajcie o nią. Jutro rano tu będę.

Po tych słowach wyszedł razem z Huhlem z budynku, który pospolicie nazywano „strasznym młynem“. Znalazłszy się na ulicy, dał Huhlemu kilkanaście marek i odszedł szybko do miasta.

ROZDZIAŁ XII.

Tajemnica czarnej komory.

Komisarz Stein musiał się przemocą opanować, aby nie zdradzić wrażenia, jakie na nim wywarły słowa przybysza.

— Gadajcież więc, co wiecie o tej damie, która wczoraj znikła? — ozwał się wreszcie.

Człowiekiem tym, który chciał zarobić przyobiecaną nagrodę, nie był nikt inny, jeno były baletmistrz Huhle. Czytał on ogłoszenie o nagrodzie i odrazu przyszła mu na myśl przygoda, jaką miał w nocy z bratem pięknej tancerki, tembardziej, że opis uprowadzonej kobiety, zamieszczony w ogłoszeniu, zgadzał się co do joty i nie mógł się odnosić do kogo innego, jeno do tej kobiety, którą on razem z Janem Barrison zaniósł do strasznego młyna.

O tem ostatniem jednak chytry lis, jakim był Huhle, przemilczał. Opowiedział więc tylko, że wczoraj w nocy widział jakiegoś człowieka, niosącego jakby nieprzytomną kobietę. Wydało mu się to podejrzanem, więc poszedł za nim, aż do strasznego młyna, w którym nieznajomy razem ze swoją ofiarą znikł.

— W jaki sposób jednakże mogliście widzieć twarz tej kobiety, przecież to było w nocy? — pytał Stein, mierząc przybysza podejrzliwemi oczyma.

Ale pytanie to nie zmieszało bynajmniej Huhlego.

— Człowiek ten — odrzekł — nie mógł, jak się zdaje nieść dalej tej kobiety, widocznie zmęczył się porządnie, więc położył ją na śniegu, właśnie pod latarnią, tak, że mogłem doskonale przyjrzeć się jej twarzy. Włosy miała blond, brwi czarne, wogóle twarzyczka prześliczna.

Poszedłem za nimi aż ku samym schodom, wiodącym do młyna i zobaczyłem, że wyszła ku nim jakaś stara baba. Do niej ozwał się nieznajomy: Przynoszę wam tu kobietkę, na którą pilnie musicie zwracać uwagę, aby nie uciekła.

Stein wpatrzył się zamyślony w twarz opowiadającego, jednak, pomimo, że powierzchowność jego nie zdradzała najmniejszego zaufania, z twarzy jego przebijała szczerość, dziwnie jakoś z tą twarzą nie licująca.

— Czy możecie mnie zaprowadzić do tego młyna? Bo przecie zrozumiecie, że zanim wam oddam przyrzeczoną nagrodę, muszę się osobiście przekonać, czy wasze zeznania są prawdziwe.

— Ano juści zaprowadzę — odparł Huhle — idę w zakład o własny mój czerep, że to jest ta sama kobieta, której pan szukasz!

Stein chciał mu właśnie coś odpowiedzieć, kiedy wszedł służący i podał mu list od hrabiego Parduy. Rozerwał kopertę i okrzyk zdziwienia wydarł mu się z piersi, kiedy czytał:

„Szanowny Panie komisarzu!

Dziękując panu najuprzejmiej za pańskie trudy, mam zaszczyt donieść panu, że żona moja powróciła przed godziną. Aby Pana uspokoić, muszę jeszcze nadmienić, że nie zachodziło w tym wypadku ani usiłowane morderstwo, ani nawet rabunek. Żona moja życzy sobie, aby cała ta rzecz utonęła w niepamięci fali, tak, że nawet Panu nie mogę udzielić szczegółów przygody mojej żony. Aby Pan jednak nie wyciągał stąd fałszywych wniosków, dodaję, iż motywy, które skłoniły moją żonę do opuszczenia domu w nocy wśród tak tajemniczych okoliczności, są zupełnie honorowe. Przyjmij pan raz jeszcze najserdeczniejsze dzięki za trud i współczucie, jakie nam pan okazałeś.

Z poważaniem
Hrabia Robert Pardua“.

— Bądźże tu z tego mądry! — mruknął Stein, przeczytawszy list. Po chwili ozwał się znowu:

— Słuchajcie, przyjacielu, możebyście mnie później zaprowadzili do strasznego młyna? Mam właśnie pilną sprawę do załatwienia i zrobilibyście mi wielką przyjemność, gdybyście na mnie tutaj, w moim pokoju, zaczekali.

Huhlemu się to wydawało podejrzanem, rzekł więc:

— Wolałbym raczej pójść z panem i zaczekać na pana na ulicy, dopóki pan swej sprawy nie załatwisz.

— Właściwie mnie to wszystko jedno. Chodźcie parę kroków za mną i zaczekajcie przed pałacem hr. Parduy, aż stamtąd wyjdę.

Dziwne myśli wirowały Steinowi w głowie, kiedy szedł po szerokich, dywanem zasłanych schodach.

— Chciałbym pomówić z panem hrabią — rzekł do służącego.

— W tej chwili — odparł sługus i znikł za portyerą, aby przybysza zameldować. Po kilku sekundach wrócił i rzekł:



.....Naprzeciw nich stała stara, do czarownicy podobna baba, trzymając w jednej ręce lampę, w drugiej kij, którym się podpierała....

— Jaśnie pan prosi!

Robert hrabia Pardua przyjął komisarza z wesołą miną.

— Oczekiwałem pana, panie Stein — ozwał się. — Pewnie pan się nie uspokoiłeś mym listem i chcesz się pan dowiedzieć bliższych szczegółów tajemniczego zniknięcia mej żony, ale muszę pana uprzedzić, że to daremny trud. Musiałem mojej żonie przysiądz, że będę milczał, i przysięgi dotrzymam.

— Myli się pan, panie hrabio, nie po to tutaj przyszedłem. Mam tylko do pana małą prośbę.

— Mów pan proszę; o ile będzie w mojej mocy spełnię ją z przyjemnością.

— Chciałem tylko zobaczyć pańską żonę, hrabinę Pardua. Mogę panu zaręczyć, że nie powoduje mną prosta ciekawość, ale pewien ważny wzgląd.

Zdawało się, że przez twarz hrabiego przebiegł nagle odcień zakłopotania, który jednakże zaraz uleciał, bo hrabia zawołał do drugiego pokoju:

— Moja Erno, pan komisarz Stein, który tak sobie wziął do serca twoje tajemnicze zniknięcie, chciałby ci powiedzieć „dzień dobry“.

— Ach, przepraszam, najmocniej przepraszam — dał się słyszeć słodki, miluchny głosik. — Nie mam jednak sił, aby dziś módz z kimś rozmawiać, zresztą jestem jeszcze nie ubrana. Może pan Stein będzie tak dobry i zechce nas kiedy później odwiedzić.

Cóż miał Stein na to odpowiedzieć? Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko podziękować za okazaną mu dobroć, pożegnać się i wyjść. Tak też zrobił.

Schodząc po schodach, mruczał pod nosem:

— Właściwie powinienbym być zupełnie zadowolony. Hrabina powróciła, więc sprawa skończona. Ba, ale cóż to za dama, którą uprowadzono do strasznego młyna, a o której mi ten włóczęga opowiadał?

— Mój przyjacielu — zagadał byłego baletmistrza, który nań czekał pod pałacem — czyście się przypadkiem nie pomylili? Może to była żona tego człowieka, który ją niósł? Może mu w drodze nagle zasłabła, tak, że sama iść nie mogła?

— Ani gadania! — odparł stanowczo Huhle — z taką pewnością, że aż to uderzyło detektywa. — Taki człowiek nie niósłby przecie żony w jedwabnym różowym szlafroku, w nocnej bieliźnie.

Detektyw stanął. W jaki sposób tu wyjść? — myślał. — Hrabia mówił, że jego żona wróciła — zresztą on sam słyszał jej głos, to nie ulegało wątpliwości — a z drugiej znów strony kobieta, którą zaniesiono do starego młyna, musiała być hrabiną Pardua, bo przecież udowodnionem zostało, że musiała być porwaną w jedwabnym różowym szlafroku.

— Macie tutaj na razie za trud — rzekł do byłego baletmistrza — jutro zgłoście się znowu do mnie, a jeżeli się okaże, że macie racyę, to otrzymacie odrazu przyrzeczoną nagrodę.

Huhle zadowolnił się tem i przyrzekł zgłosić się doń na drugi dzień.

. . . .

Tego samego wieczora siedziała stara matka Wilding w swojej izdebce, kiedy nagle do drzwi zapukano, i do izdebki wszedł stary, zgarbiony mężczyzna, opierający się drżącemi rękoma na lasce.

— Dobry wieczór, kochana pani Wilding — rzekł przybysz, siadając odrazu na krześle.

— Nie znam was! — odparła sucho stara.

— Mocno wierzę, postarzałem się srodze, aż mię nareszcie wypuścili. Niema co gadać. Wcale nieprzyjemna to rzecz, jak kogo trzymają za kratką i to jeszcze niewinnie!

Stara zmierzyła go surowem spojrzeniem.

— Nie rozumiem waszego gadania. Coście wy za jedni?

— Jestem August Reizenhofer z Naundorfer. Byłem, jak jeszcze wasz mąż żył, jego towarzyszem w więzieniu, pewnego rodzaju strażnikiem, bo sędziowie obawiali się, że Wilding się kiedy powiesi.

— Byliście tedy w jego celi, kiedy umierał? — krzyknęła stara.

Wyznanie to otworzyło przybyszowi drogę do jej serca. Zasypywała go pytaniami, na które August z całą stanowczością odpowiadał.

— Tak, tak — zaczął stary — znam całe życie waszego męża, jak własną kieszeń. Pewien kasyer, który z miłości dla żony okradł kasę, nakłonił go do tego, że biedak włamał się do banku i zniszczył książki, aby fałszerstwa tamtego na jaw nie wyszły. Łatwowierny był biedak i dał się namówić. A że go złapał strażnik na gorącym uczynku, więc go zabił.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Do Bośni: Odjazd 1-go batalionu 10-go pułku piechoty z Radymna do Bośni. (Fot. dla „Nowości“ M. Todt z Przemyśla).

Do Bośni.

Ostatnie wypadki polityczne na półwyspie bałkańskim odbiły się głośnem echem w całej Austryi. Sztab generalny armii austryackiej zwrócił szczególniejszą uwagę na południowe kresy monarchii. Dowodem tego choćby fakt, że z pułków galicyjskich nawet przeniesiono kilkuset ludzi do Bośni, między innemi 500 „lwowskich dzieci“, oraz 1 batalion 10 pp. z Radymna.

Dnia 17 bm. przybyła w południe do Radymna muzyka wojskowa 10 pp. z Jarosławia, celem uroczystego pożegnania odjeżdżającego do Bośni batalionu, który wieczorem tego dnia przy dźwiękach marsza i blasku pochodni przeciągał uroczyście po wspaniale illuminowanych ulicach. Rano dnia 18 bm. przybył do Radymna J. E. polny marszałek porucznik Artur Sprecher v. Bernek, kom. 24 dyw., gen. major v. Grünzweig i komendant 10 pp. pułkownik Józef Rocek. Odjeżdżający batalion wyruszył pod wodzą pułkownika Rukawiny na plac zborny, gdzie po modlitwie przemówił w serdecznych słowach do żołnierzy pułkownik Rocek — zamieszczona obok illustracya przedstawia właśnie chwilę, kiedy pułk. Rocek przemawia przed frontem batalionu. — Po tej czysto wojskowej uroczystości udał się batalion, otoczony tłumem ludności z Radymna i okolicy, w towarzystwie tamtejszej straży ogniowej i stacyonujących tam dragonów na dworzec kolejowy, gdzie nastąpiło ogólne serdeczne pożegnanie, przerywane płaczem matek, sióstr i żon dorodnych junaków, których los rzucił w dalekie strony, do skalistej Bośni... Przy odgłosie salw moździerzowych, oddanych przez straż pożarną, żołnierze wsiedli do pociągu wraz z pułkownikiem Rockiem, który ich odwiózł do Bakończyc, stacyi za Przemyślem. — Druga nasza illustracya przedstawia chwilę przed odjazdem pociągu z Radymna. — W Bakończycach czekały na odjeżdżających deputacye garnizonu przemyskiego — widać je na załączonej obok illustracyi — między innymi komendant 10 korpusu, komendant twierdzy, wyżsi oficerowie sztabowi, oraz muzyka wojskowa 45 pp. Z batalionem odjechali kapitani: Herforth, Schneider, Offermann i Eckert.

Po odegraniu hymnu cesarskiego ozwała się świstawka lokomotywy i pociąg uniósł w dal dzieci polskie, na dalekie południe.

Dla upamiętnienia chwil pożegnania przez wojskowość odjeżdżającego między Turki batalionu galicyjskiego, porobił w Radymnie dla „Nowości“ kilka zdjęć fotograf przemyski M. Todt.



Do Bośni: Deputacya garnizonu przemyskiego, z komendantami korpusu i twierdzy, żegnająca w Radymnie 1 bat. 10 pp. (Fot. M. Todt z Przemyśla).



Do Bośni: Pułkownik Józef Rocek wygłasza mowę pożegnalną do 1-go batalionu 10-go pułku piechoty, odjeżdżającego z Radymna na stały pobyt do Bośni; na prawo na koniu pułkownik Rukawina, przed nim generał marszałek polny porucznik Beru k i generał major Grünzweig. Fot. Michał Todt z Przemyśla.

Ze Lwowa — między Turków.

W zeszłym tygodniu opuścił Lwów trzeci batalion 30 p. p. Batalion ten został przeniesiony w bardzo odległe strony, bo aż do prowincyi bałkańskich, okupowanych przez Austryę, mianowicie do miejscowości Pripole w sandżaku nowoba-



Ze Lwowa między Turków: Major von Doctorowich, komendant 3-go batalionu 30-go pułku piech. przeniesionego ze Lwowa do Pripole.

zarskim. Wiadomość o przeniesieniu jednego z batalionów 30 pułku wywołała w całym Lwowie, na przedmieściach i w okolicznych wsiach nie mało żalów i łez. Pułk 30 bowiem jest pułkiem lwowskim i służą w nim prawie wyłącznie „dzieci lwowskie“. Batalion trzeci poprowadził między Turków jego komendant major v. Doctorovich, (którego fotografię podajemy), poszło z nim ponadto czteru kapitanów, oraz 15 oficerów, w tem sześciu Polaków. Ogółem opuściło Lwów 520 ludzi. Odjazd „lwowskich dzieci“ na Bałkan był wypadkiem dnia we Lwowie. O oznaczonej godzinie zgromadziły się na cytadeli tysiące publiczności, częścią z ciekawości, częścią celem pożegnania krewnych, przyjaciół lub znajomych. A podczas pochodu na dworzec, cała ta masa postępowała obok maszerujących w takt muzyki żołnierzy, żegnając się po drodze z nimi, podając im rozmaite zawiniątka z wiktuałami itd. Również zwierzchnicy wojskowi żegnali uroczyście odjeżdżający batalion. Prócz kilku generałów, prócz przedstawicieli korpusów oficerskich wszystkich pułków, przybył i komenderujący Bruderman. Droga, jaką przeniesieni żołnierze mają odbyć do miejsca nowego pobytu, nie do pozazdroszczenia. W ciasnych, niewygodnych wagonach towarowych tłuc się będą biedni żołnierze całe sześć tygodni, zanim staną w Pripole, ponadto czeka ich dłuższy marsz w górzystej, dzikiej okolicy.

W obronie miasteczek galicyjskich.

Zapowiedziana przez rząd reforma wyborcza ma — jak to stwierdziła i dyskusya w Radzie państwa i artykuły prasy wszystkich krajów — bardzo liczne braki. Przedewszystkiem rażące jest w niej pokrzywdzenie Galicyi i Polaków, w szczególności zaś mieszkańców miast i miasteczek, tej więc ludności, która pod względem kulturalnym i ekonomicznym, pod względem wreszcie siły podatkowej, najwyżej w kraju stoi i na najszersze prawo zasługuje. Grożące to pokrzywdzenie, a ponadto szereg innych spraw, związanych z rozwojem miasteczek, skłoniły grono burmistrzów do urządzenia zjazdu, celem zastanowienia się nad sytuacyą.

Zjazd ten odbył się w czwartek w ubiegłym tygodniu we Lwowie, a obrady toczyły się w Izbie handlowo-przemysłowej. Przybyło nań przeszło 30 burmistrzów miasteczek, przeważnie z wschodniej Galicyi. Przewodniczył burmistrz Rawy ruskiej pan Ryziewicz. Bardzo żywa i gorąca debata toczyła się z przerwą obiadową przez cały dzień, do późnego wieczora. Przedewszystkiem załatwiono sprawę reformy wyborczej. Pod tym względem uchwalono obszerną rezolucyę, w której zebrani burmistrze oświadczają się za reformą wyborczą na zasadach powszechnego, bezpośredniego i tajnego głosowania, domagają się jednak powiększenia liczby mandatów z Galicyi wogóle, w szczególności zaś wydzielenia miast i miasteczek z okręgów wyborczych mięszanych tj. miejskich i wiejskich, a utworzenia



Ze Lwowa między Turków: Na dworcu kolejowym we Lwowie, pożegnanie odjeżdżającego do Pripole w Sandżaku Nowobazarskim, 3-go batalionu 30-go pułku piechoty „dzieci lwowskich“. (Fot. dla „Nowości Ill.“ Ape).

z nich okręgów samoistnych, wyłącznie dla ludności miejskiej. Uchwalono też odnieść się z tą sprawą w osobnym memoryale do Koła polskiego.

Dyskusya nad reformą wyborczą zajęła tyle czasu zebranym burmistrzom, że inne sprawy można było tylko powierzchnie omówić. Najważniejszem jest to, iż utworzono związek 131 gmin miejskich, objętych ustawą z 1896 r. i że wybrano stały komitet wykonawczy dla spraw tych gmin.

W obradach burmistrzów wzięło udział kilku posłów do parlamentu.

Nasza rycina przedstawia grupę uczestników czwartkowego zjazdu burmistrzów, w chwili gdy wychodzą z Izby handlowej przemysłowej podczas przerwy obiadowej. W pośrodku prezydyum z burmistrzem p. Ryziewiczem, na prawo posłowie dr. Małachowski i dr. Rutowski.



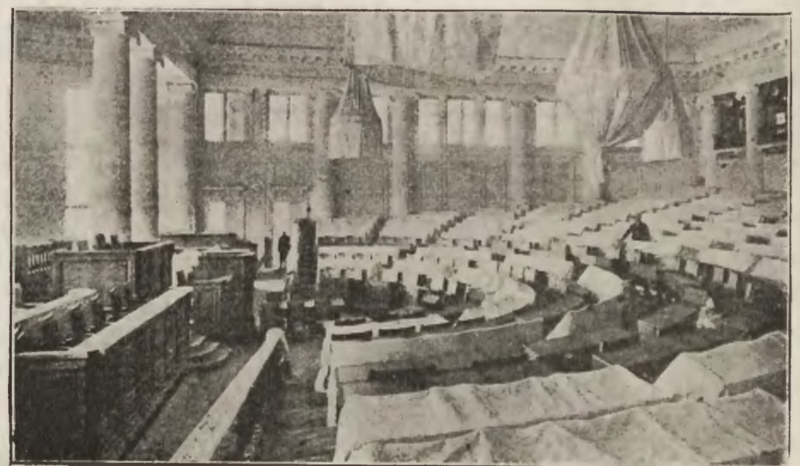
W obronie miasteczek galicyjskich: Wychodzący z Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie po posiedzeniu, uczestnicy zjazdu burmistrzów trzydziestu miasteczek wschodnio-galicyjskich; w środku prezydyum zjazdu z przewodniczącym burmistrzem Ryziewiczem z Rawy Ruskiej; na prawo posłowie Małachowski i Rutowski. (Fot. umyślnie dla „Nowości Ill.“ M. Münz).

Chińczycy katolikami.

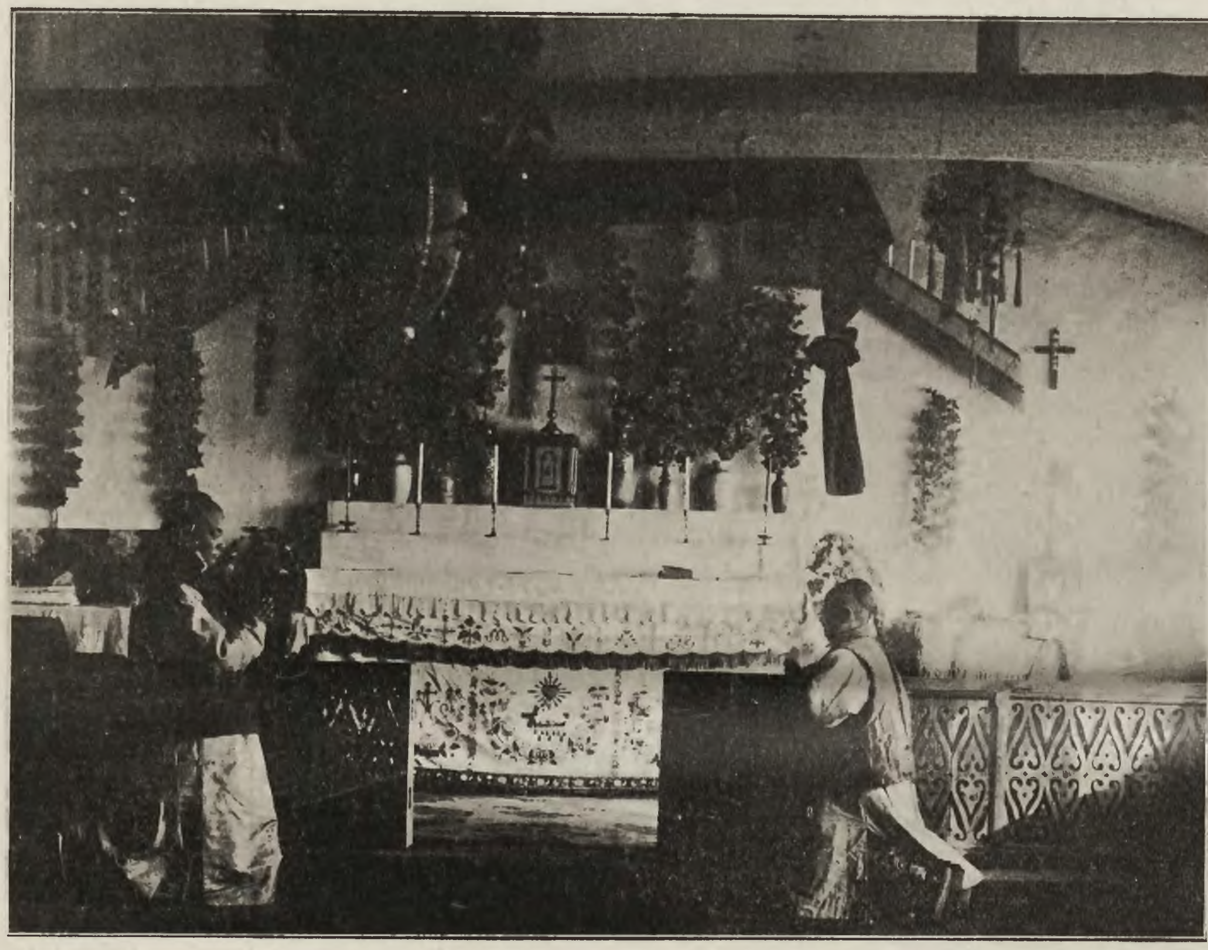
Uprzejmości lubelskiego kapłana ks. Przyłuskiego zawdzięczają „Nowości“ załączone tu illustracye misyi katolickiej na Dalekim Wschodzie i garść wiadomości o niej z okresu, w którym kapłan polski czynny i żywy brał udział



Płynie „przystań“. do przystani: Raz do roku tylko zdarzająca się chwila, gdy „przystań“ Tow. wioślarskiego w Warszawie na Wiśle, z kancelaryą zarządu, składem, szatnią i restauracyą, płynie z leża zimowego do stałej przystani powyżej mostu.



Zwycięstwo „Kadetów“: Wnętrze pałacu Taurydzkiego w Petersburgu, gdzie będzie obradowała pierwsza Duma państwowa.



Chińczycy katolikami: Ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej w kościele misyi katolickiej we wsi Fu-tu-tian nad rzeką Sungari.

przystani jest radosnym sezonu wioślarskiego zwiastunem, zanim nie otworzy go uroczyście zarząd towarzystwa na czele dzielnych druhów „Wioślarzy“ z wiceprezesem Kobyleckim na czele przy echach choralnej pieśni „Dudy“ wioślarskiej.

Mało kto dopatrzy tę raz tylko do roku zdarzającą się chwilę płynącej spokojnie „przystani“ do przystani, którą tu uwiecznia nasza rycina.

A pamiętać należy, że „Przystań“ ta, to korab poważnych rozmiarów, mieszczący i kancelaryę zarządu i szatnie i składy i restauracyę z bufetem, dla setek dzielnych wioślarzy. Na nowy sezon życzymy im powodzenia. *B-t.*

Poseł Prawdy.

Aleksander Świętochowski. którego portret podajemy na str. 2 Czytelnikom, to postać niezwykle wybitna w duchowym świecie polskim, czcią powszechną i uznaniem otoczona, do czego zaufanie ogólne dołączy może nie długo i nowy ciężar obowiązków wraz z nowym zaszczytem posła do Dumy państwowej w Petersburgu. Może uprzedzamy wypadki, może nie ziszczą się nasze przewidywania, niemniej zwrócone dziś na Świętochowskiego oczy **całej Warszawy, całego społeczeństwa polskiego bez różnicy na partye i wyznanie,** jako na męża ogólnego zaufania, godnego mandatu poselskiego stolicy Polski, Warszawy.

Urodzony w 1849, kończył gimnazyum w Lublinie, poczem był na wydziale filozoficznym w warszawskiej Szkole Głównej, zamienionej następnie na uniwersytet, który ukończył w 1870. W tych czasach pisywał już do Tyg. Illustr. i do Przeglądu Tygodniowego. Następnie wyjechał do Lipska na studya i tam złożył doktorat filozofii. W publicystyce polskiej ma ważną kartę jako „Poseł Prawdy“:

w jej pracach wespół z Francuzem ks. Beautin'em. Dzieło to niełatwe wśród podejrzliwych Chińczyków, kulturalnie i wyznaniowo tak obcych chrześciaństwu i jego społecznym zasadom.

A jednak dzięki niestrudzonej pracy i gorliwości obu kapłanów udało się ją założyć w mandżurskiej wiosce Fu-tu-tian, nad rzeką Sungari, gdzie zwolna pobudował się i kościół i zabudowania misyjne, do których garnie się coraz więcej nawróconych już lub tego żądnych Chińczyków.

Jedna illustracya przedstawia właśnie obu kapłanów na tle zabudowań misyjnych w otoczeniu kosookich, warkoczowych swych wychowanków. Już sam ich wygląd, czyste ubrania, spokojne odbłyskiem wiary i czystego sumienia twarze, świadczą korzystnie o dokonanem przeobrażeniu w duchu katolickim, a dopełnia tego wrażenia druga illustracya, przedstawiająca wnętrze kościółka z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w wielkim ołtarzu, u którego stóp klęczą odświętnie przystrojeni neofici-Chińczycy, z starannie plecionymi warkoczami, z pobożnie do modlitwy złożonemi rękami. Jest coś niezmiernie przejmującego wysoce nabożnym nastrojem w tym spokoju, w tej ciszy, której nie przerywają poruszenia ust modlących się Chińczyków. *B-t*

Płynie „przystań“ do przystani.

Niezwykła to chwila, kiedy budynek przystaniowy warszawskiego Towarzystwa wioślarskiego opuszcza swe leże zimowe i płynie Wisłą do przystani stałej, powyżej mostu.

Jak lot bocianów wiosny — tak ten spław



Chińczycy katolikami: Misya katolicka we wsi chińskiej Fu-tu-tian nad rzeką Sungari, koło mostu kolejowego koło Charbina; w środku Polak ks. Przyłuski z Lublina i Francuz ks. Beautin.

Po wybuchu wulkanu Wezuwiusza.



W czasie wybuchu Wezuwiusza, kopanie rowów dla potoków lawy.



Kościół zasypany lawą.



Uprzątanie popiołu wulkanicznego z ulic Neapolu.



Ulica w Neapolu podczas wybuchu Wezuwiusza.

tak bowiem podpisywał co tydzień swoje świetne feljetony w założonym przez siebie w Warszawie tygodniku pt.: „Prawda“, którego redaktorem był przez lat 20 do r. 1902. W literaturze złotemi głoski zapisał imię swoje Świętochowski, jako autor przedziwnych „Bajek“ i potężnych dramatów, że wymienimy tylko kilka: „Niewinni“, „Antea“, „Ojciec Makary“.



Główna ulica w Ottajano zasypana popiołem.



Ruiny jedynego domu wśród pustyni popiołu.

Tak dziś bogaty w naukę, zasługę, doświadczenie życiowe i ten szerszy światopogląd, właściwy wyższemu poziomowi ducha twórczego, stanął Świętochowski na czele stronnictwa postępowo-demokratycznego, jaśniejąc jako jego rzecznik i przedstawiciel darem przekonywującej wymowy na trybunie zgromadzeń publicznych za listopadowych i grudniowych dni swobód i wolności konstytucyjnych w Warszawie, jakoteż przemawiając ze szpalt „Nowej Gazety“ w sprawach społecznych narodowych z siłą przekonania równą głębokiej wiedzy i gorącej miłości ojczyzny. — Wierny całe życie swym postępowo-demokratycznym zasadom posiada również niezwykłe zaufanie w sferach Polaków mojżeszowego wyznania, zgodnych z wielkimi zastępami ogółu w przeświadczeniu, iż Świętochowski jest powołanym kandydatem na posła i rzecznika Polski w parlamencie rosyjskim właśnie teraz, w chwili przełomowej, gdy rozgrywać się będzie walka o zasadnicze nasze prawa, walka, do której dorastają tylko silne duchy, potężne, granitowe charaktery i gorące serca. *Bejot.*

San Francisco — Lwów.

Wieść o strasznem w skutkach trzęsieniu ziemi przed tygodniem w Ameryce nie była niespodzianką dla tych, którzy pracują w obserwatoryach seizmograficznych. Wiadomo bowiem, że w obserwatoryach znajdują się aparaty, nadzwyczaj skomplikowane a bardzo czułe, które notują każde wstrząśnienie, jakiemu ziemia w jakimkolwiekbądź punkcie ulegnie. Oczywista więc, że i ostatnie trzęsienie ziemi w Ameryce zostało przez



Zniszczone dziś lawą Boscotrecase na godzinę przed katastrofą.

wspomniane aparaty seizmograficzne zanotowane. W rzędzie tych obserwatoryów znajdowało się i obserwatoryum lwowskiej politechniki. Zostaje ono pod kierunkiem jednego z najznakomitszych seizmologów, uczonego cieszącego się powagą w całym świecie naukowym, prof. dr. Wacława Láski. Aparat seizmograficzny lwowski zanotował bardzo wyraźnie trzy silne wstrząśnienia, którym uległa okolica San-Francisco. Obok podajemy rycinę, która jest kopią owych notatek seizmograficznych. Widać na niej wyraźnie gwałtowność wstrząśnień i ich długość. Równocześnie podajemy portret prof. W. Láski, znakomitego seizmologa, autora wielu cennych prac z tej gałęzi nauki, publikowanych przeważnie w fachowych niemieckich czasopismach.

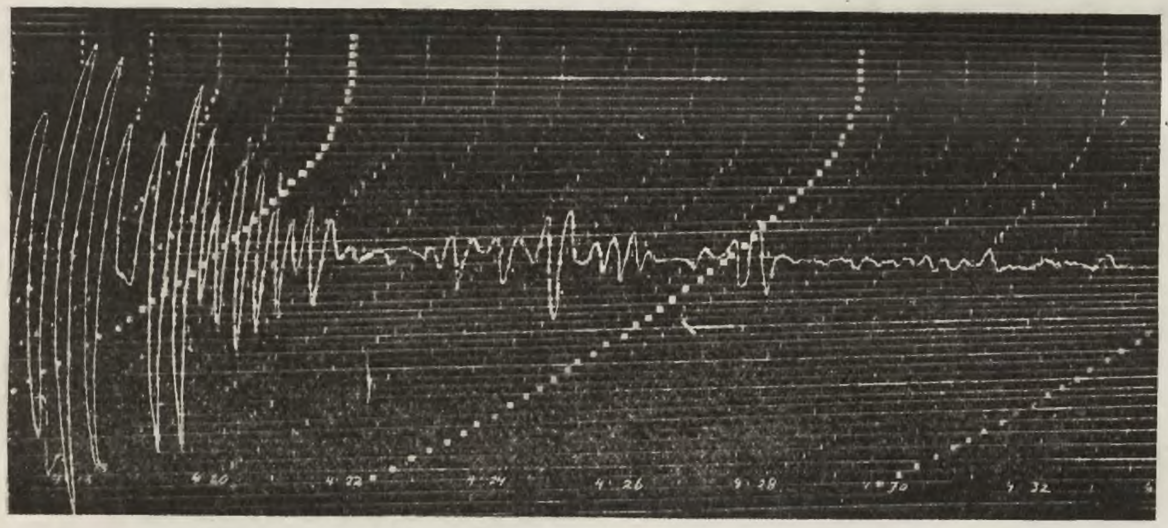
Prof. Láska, choć Czech z pochodzenia, przylgnął całą duszą do społeczeństwa polskiego, pracuje z całem poświęceniem dla dobra i rozwoju nauki polskiej, i należy do najbardziej wśród młodzieży lubianych profesorów.

Trzęsienie ziemi w Krakowie.

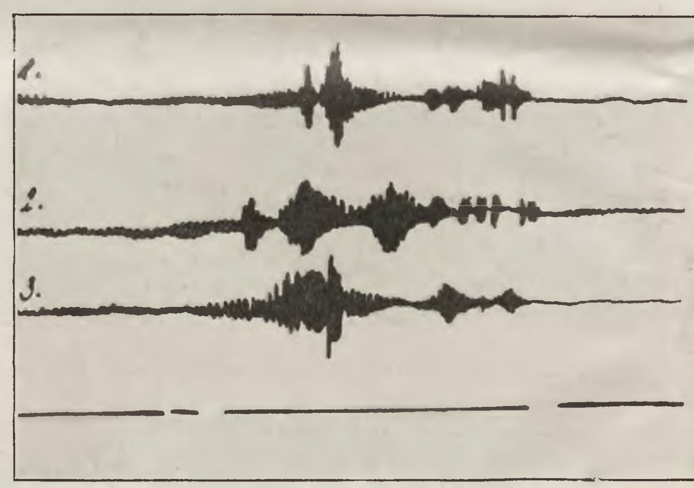
Żywiołowe katastrofy, jakie w ostatnich dniach nawiedziły Włochy i Kalifornię, były tak silne, że przyrządy seismograficzne w obserwatoryum krakowskiem odczuły je zupełnie wyraźnie, a nawet to ostatnie niezwykle silnie, jak to zresztą widać najlepiej na zamieszczonej obok illustracyi.

Przyrządy seismograficzne obserwatoryum krakowskiego są umieszczone w głębokiej piwnicy — widać je również na załączonej obok illustracyi — na masywnych betonowych podmurowaniach, głęboko w ziemię wpuszczonych i oddzielonych w całej swej wysokości szczelnią, wypełnioną watą, od otoczenia, aby na przyrządy nie mogły działać wstrząśnienia, spowodowane np. przejazdem ciężkich wozów. Aparatów takich ma nasze obserwatoryum dwa, umieszczone są do siebie prostopadle. Główną część składową aparatu stanowi wahadło poziome. Pręt wahadła jest uczepiony jednym końcem do pewnego punktu żelaznego słupa, stojącego na podmurowaniu, tak, iż wahadło może się około tego punktu poziomo obracać; drugi koniec pręta, obciążony znacznym ciężarem, jest połączony ukośnym drutem z drugim punktem owego słupa, w wysokości około metra nad pierwszym. Linia łącząca z sobą te dwa punkty nie jest ściśle pionową, lecz tylko w przybliżeniu. Wskutek tego, wahadło takie zachowuje się tak, jak skrzydło drzwi, zawieszone na dwu zawiasach nie umieszczonych dokładnie w linii pionowej jedna nad drugą; to znaczy, że dąży ono zawsze samo przez się do zajęcia takiego położenia, aby ciężar na końcu wahadła znalazł się wraz z oboma punktami zawieszenia w jednej płaszczyźnie pionowej.

Dopóki zatem kierunek linii zawieszenia nie ulegnie zmianie, wahadło pozostaje w spoczynku. Skoro tylko jednak skutkiem ruchu skorupy ziemskiej dolny punkt zawieszenia dozna choćby bardzo małego przemieszczenia w bok, oczywiście temsamem płaszczyzna przechodząca przez oba punkty zawieszenia i przez ciężar wahadła przestaje być pionową, i ciężar wahadła natychmiast dążyć poczyna ku innej niż poprzednia płaszczyźnie pionowej, przechodzącej przez nowy kierunek linii zawieszenia. Ruch ten przenosi się zapomocą dźwigni w znacznem powiększeniu na małą igiełkę



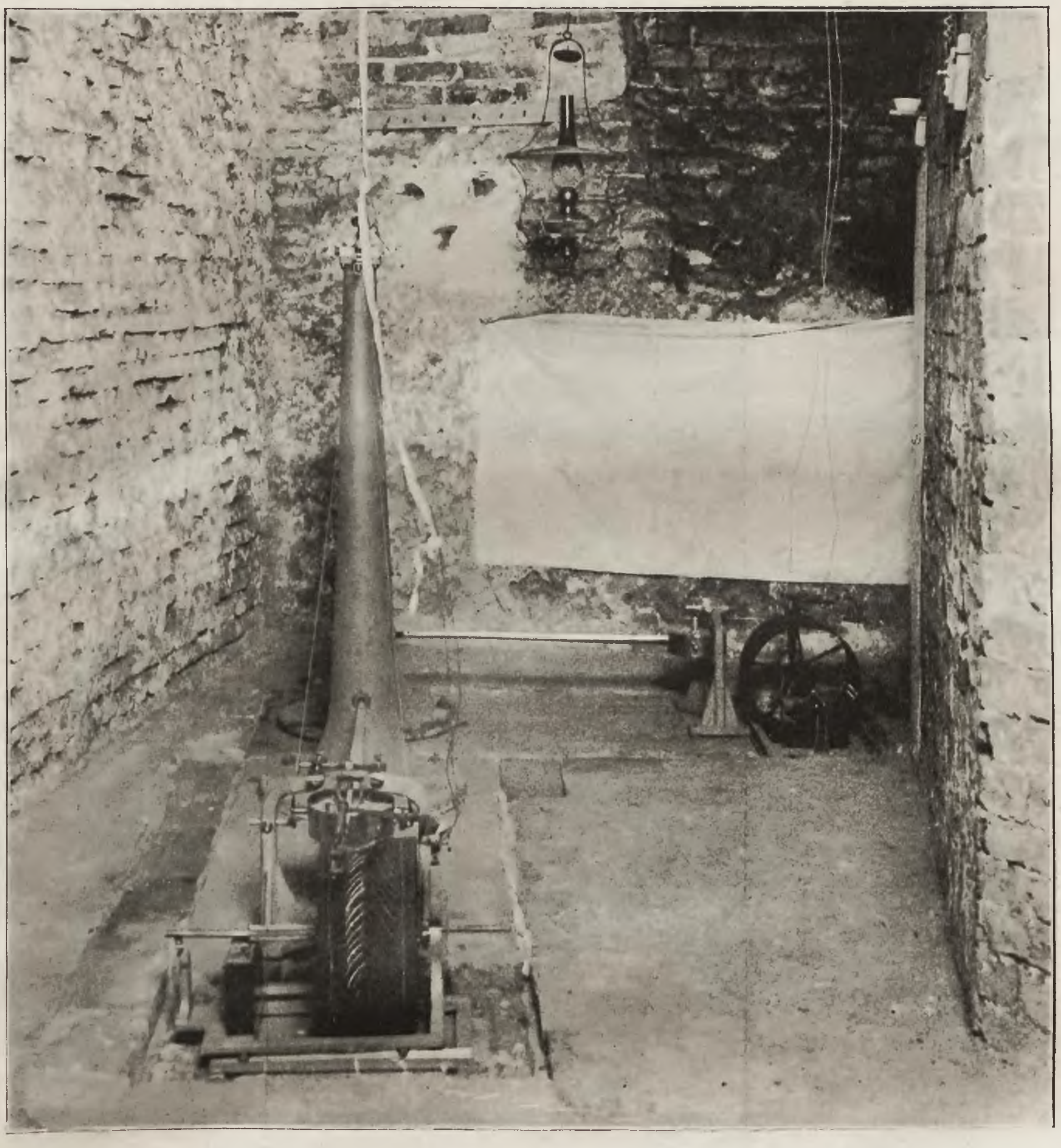
Trzęsienie ziemi w Krakowie: Kopia notatek seismograficznych na aparacie krakowskim, który, jak świadczą gwałtowne drgania, odczuł wyraźnie trzęsienie ziemi w San Francisco.



San Francisco-Lwów: Kopia notatek seismograficznych na aparacie lwowskim, który, jak tu widać, odczuł trzęsienie ziemi w Ameryce.



Po wybuchu wulkanu: Zniszczenie miejscowości Ottajano, położonej u stóp Wezuwiasza



rzęsienie ziemi w Krakowie: W piwnicy krakowskiego obserwatoryum (dwa piętra pod ziemią) aparaty seismograficzne, które odczuły trzęsienie ziemi w San Francisco. (Umyślne zdjęcie dla „Now. Ill.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis).

której koniec dotyka powierzchni walcowatej metalowego bębna, opasanego okopconym papierem. Oś tego bębna leży poziomo i prostopadle do wahadła, a bęben obraca się nieustannie około tej osi przez działanie motoru zegarowego. Igiełka przeto, znajdując się w spoczynku, kreśli na papierze okopconym linię gładką; gdy jednak skutkiem wychyleń wahadła poczanie się poruszać, ślad jej na papierze przyjmuje kształt falisty. Osobny rylec, połączony elektrycznie z dokładnym zegarem, uderza co minutę w bęben, i robi przez to na papierze znaki, które służą następnie do rozpoznania, o których chwilach miały miejsce oddzielne fazy trzęsienia, zanotowane przez igiełkę.

Dział seismograficzny w naszem obserwatoryum pozostaje pod kierunkiem dra L. Grabowskiego. Według jego zdania, mieliśmy od czasu ustawienia tych aparatów w Krakowie zaledwie kilka trzęsień ziemi, tak wybitnie, jak trzęsienie kalifornijskie, zanotowanych.



San Francisco-Lwów: Dr Wacław Láska, kierownik obserwatoryum politechniki lwowskiej, a znakomity seismolog. (Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.

Pierwsza wystawa dzieł twórcy „Wojny“.

W dziewięciu salach gmachu lwowskiego muzeum przemysłowego otwartą została w ubiegłym tygodniu zbiorowa wystawa dzieł nieśmiertelnego, genialnego malarza polskiego, Artura Grottgera.

Nie miejsce tu omawiać szerzej dzieła tego mistrza, omawiać ich znaczenie w rozwoju polskiego malarstwa i ich wpływ na następne pokolenia naszych malarzy, podnieść wszakże należy, że te skromne, kredką, ołówkiem i akwarelą robione



Po wybuchu wulkanu: Doszczętnie zniszczona wybuchem Wezuwiusza miejscowość Boscotrecase, zasypana lawą.



Pierwsza wystawa dzieł twórcy „Wojny“ : W muzeum przemysłowem we Lwowie na wystawie Grottgerowskiej salon w stylu Biedermayer z r. 1863, w charakterze epoki, w której powstawała „Polonia“ i „Lituania“; na ścianie nad kanapą portrety ks. Jerzostwa Czartoryskich, pędzla A. Grottgera.



Pierwsza wystawa dzieł twórcy „Wojny“: W salach muzeum przemysłowego we Lwowie, pracownia Artura Grottgera, wiernie odtworzona przez St. Dębickiego

obrazy Grottgera stały się podwaliną i początkiem polskiego malarstwa i nadały mu piętno narodowe. Dzieła Grottgera, związane swą treścią przeważnie ściśle z epoką powstania styczniowego, a następnie dzieła Matejki, uzupełniając się wzajemnie, wytknęły szlaki przyszłej sztuce polskiej. Pierwszy okazał całemu światu Polskę skrwawioną, rozdartą, nieszczęśliwą, malował epizody walk, ofiar, miłości; drugi przedstawiał jej tryumfy, okazał Polskę w szatach purpurowych, potężną władczynię.

Urządzenie wystawy zbiorowej dzieł Grottgera było połączone z niemałemi trudnościami, trzeba było bowiem zgromadzić porozrzucane po całym kraju prace jego, będące własnością prywatną, trzeba było zwalczyć nie jedno uprzedzenie, nie jedną niechęć. Przedsięwzięcie to przecież powiodło się wybornie komitetowi wystawy, tak że zgromadzono na wystawie 268 dzieł Grottgera, między temi takie arcydzieła, jak „Wojna“, własność cesarza austryackiego.

Urządzono wystawę z całym pietyzmem dla geniusza, z całą miłością dla nieśmiertelnego mistrza. Przeważna to zasługa artysty malarza pana St. Dębickiego, który potrafił dekoracyi wystawy nadać charakter i piętno ówczesnej epoki, owej epoki, w której Grottger swe arcydzieła tworzył. I tak na lewo w małej sali odtworzył on pracownię Grottgerowską według tego, jak ona jest narysowana na jednem z jego własnych płócien, W innych zaś salach poumieszczał na ścianach obrazy, a pod nimi meble i sprzęty z owej epoki, tak iż tworzą nadzwyczaj odpowiednie tło dla tych obrazów. To też zwiedzająca publiczność czuje się od razu owianą ową atmosferą, którą oddechał Grottger. Przyczynia się to niemało do podniesienia nastroju wystawy i jej uroku.

Obok p. Dębickiego niemało zasłużyli się około urządzenia wystawy: pp. Alfred Altenberg, który poparł przedsięwzięcie materyalnie i p. Maryan Olszewski, znany krytyk, który ponadto opracował doskonały katalog.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcia fotograficzne z dwóch sal wystawy, mianowicie z sali, przedstawiającej pracownię mistrza oraz z salonu w stylu Biedermayer z r. 1863. W tym ostatnim widać w głębi portrety ks. Jerzostwa Czartoryskich, pędzla Grottgera.

Celem skompletowania wszystkich prac Artura Grottgera wydany zostanie przez księgarnię H. Altenberga we Lwowie album prac tegoż artysty, składające się narazie z około 400 fotografij bromo-srebrnych, zbieranych przez szereg lat i z zdjętych wprost z oryginałów przez fotografa-amatora p. Jana Czerneckiego w Wieliczce.

Cena jednego albumu wyniesie kilkaset koron i zależeć będzie od ilości subskrybowanych egzemplarzy. W sprawach dotyczących sposobu wykonania i strony artystycznej tego albumu należy się zgłaszać do p. Jana Czerneckiego w Wieliczce. Nadmienia się przytem, że po wydaniu tego albumu, każdy z nabywców tegoż otrzymywać będzie w przyszłości dalsze zdjęcia prac Artura Grottgera za zwrotem kosztów, o ile takie wyszukane zostaną.

Zdjęcia fotograficzne z wystawy Grottgera zamieszczone w dzisiejszym numerze zawdzięczamy właśnie uprzejmości p. Czerneckiego, znakomitego i znanego w całym kraju amatora fotografa w Wieliczce.

Plotki lwowskie.

Do szkoły dramatycznej p. Hellera zapisało się tyle dziewic, że o przyszłość naszej sztuki możemy być spokojni. To wszystko przyszłe Modrzejewskie, Siemaszkowe, Bednarzewskie, Solskie i Zielińskie. Prof. Cepnik już się nawet przygotowuje do wykładów i sprawił sobie nowy szlusrok. Wszyscy inni dziennikarze lwowscy pożółkli z zazdrości i robią starania, aby się habilitować na docentów szminkologii, suflerologii i kurtynologii. Zdaje się, że trzeba będzie istniejące katedry rozdzielić na poszczególne przedmioty. Najgorzej z baletem, bo żaden z lwowskich dziennikarzy nie umie tańczyć. Dlatego o tę katedrę nikt się nie stara i zostawiło się ją p. Trojanowskiemu. Gremium profesorów z rektorem Wysockim na czele jest stanowczo zbyt szczupłe i aż się prosi o pomnożenie.

Prócz tej nowości p. Heller na razie nic nowego nie wprowadził, choć podobno ma całą torbę niespodzianek. Co prawda, ta sama szkoła dramatyczna choć zapowiadana od dawna, w tej formie jest także niespodzianką! Ale my już tak do niespodzianek przyzwyczailiśmy się, że dla nas nawet najbardziej niespodziewana niespodzianka już nie jest niespodzianką.

Jeszcze przedtem jedziemy do Włoch. Lwów już ma tyle pięknych a użytecznych urządzeń, że tylko nam jeszcze brakowało nowości włoskich do zupełnego szczęścia. Trzydzieści miast galicyjskich wysyła swoich reprezentantów do Włoch, do Medyolanu, ażeby tam oglądnęli i poznali na wystawie powszechnej wszystkie najnowsze urządzenia gminne i potem zdali z tego sprawę. Jeżeli więc Wezuwiusz nie zasypie lwowskich reprezentantów, to gotowiśmy potem urządzić u siebie kawałek Włoch, przynajmniej w magistracie. Pod warunkiem, że nasi delegaci coś z tego wszystkiego zrozumieją i spamiętają. Ludzie, którzy nałogowo na wszystko robią złośliwe uwagi, twierdzą i w tym wypadku, że tu chodzi tylko o to, by niektórzy dobrze zapisani przejechali się trochę do Włoch i oglądnęli Wezuwiuszowe spustoszenia. W takim razie, miałaby ta podróż czy wycieczka przecież jakiś cel.

Ja wybrałbym już raczej San Francisco, ażeby oglądnąć skutki trzęsienia ziemi. Wulkanów u nas niema, ale trzęsienie ziemi mamy na każdym kroku, więc możnaby robić porównania. Ja np. siedząc przy biurku, robię takie obserwacye. Ile razy przejedzie jakaś dorożka ulicą obok domu, w którym mam honor mieszkać, trzęsie się moje biurko i wszystkie znajdujące się na niem przedmioty przewracają się lub spadają na podłogę. Gdyby przejechał ulicą ciężki wóz transportowy, przewraca się całe biurko, a meble w pokoju kiwają się, jak cienie elizejskie, zmieniając pozycyę. Już nic nie mówię o przejeździe artyleryi z armatami. Wtedy zostawiam wszystko i uciekam z domu, ratując zadłużone życie.

Ale jak długo nie zapadła się żadna kamienica lwowski magistrat pozwala dalej tak budować, jak dotychczas, i czeka z beznamiętną wytrwałością. Na tym punkcie niezapadania się kamienic, które już dawno powinny się były zapaść, ma magistrat lwowski złodziejskie szczęście. Jeżeli Bourlardówka przy ulicy Batorego dotąd stoi, to poprostu świat się kończy, a ona już chyba nie zapadnie się nigdy. Spróbujcie wysadzić ją dynamitem w powietrze, a ręczę, że nie ruszy się z miejsca. Szczęście magistrackie trzymać ją będzie wiecznie. Czasami nawet żałuję, że sam nie jestem magistracką kamienicą.

Tylko, że w takim razie nie mógłbym już liczyć kiedyś na przyzwoity pogrzeb w miejskim zakładzie pogrzebowym. Ale ja jakoś nie wierzę, by już rychło powstał miejski zakład pogrzebowy, zaczem idzie, że moja nieśmiertelność jest zapewniona.

A jednak nie pracowałem na nią tak wiele, nie uszczęśliwiałem ludzkości programami politycznymi, nie pisałem dramatów ani nawet Kopciuszka, nie brałem udziału w wieczorze autorów, nie wygłaszałem mów pod Mickiewiczem, nie byłem nigdy dyrektorem teatru, nie pożyczałem pieniędzy panu Hellerowi, nie zarabiałem na panu Pawlikowskim, nie miałem nigdy czterdziestu żon, nie utrzymywałem nigdy żadnych gwiazd scenicznych, nie fotografowałem się z Sienkiewiczem, nie biłem szyb przeciwnikom politycznym i ani razu nie zdarzyło mi się przesiedzieć przez cały dzień w kawiarni Kryształowej przy herbacie. To wszystko bowiem i dużo innych jeszcze rzeczy prowadzi u nas — jak wiadomo — prostą drogą do nieśmiertelności.

Klewc.

Aleksander Michałowski.

Świat wirtuozowski a raczej jego przedstawiciele znajdują się obecnie w warunkach coraz trudniejszych, wskutek coraz bardziej zaludniającej się krainy sztuki artystami, z których każdy wnosi wielki zapas talentu, — doświadczenie, wiedzę, muzykalność i umuzykalnienie a ponadto wyrobiony jest należycie technicznie. Gdy jednak tak zwana konkurencya stawia dziś artystom wymagania wprost nadludzkie, ułatwiają sobie niektórzy obracanie się w krainie sztuki w ten sposób, iż oddają się pewnym tylko specyalnym kierunkom sztuki — a niekiedy reprodukcją dzieł uektórych tylko twórców. Takich specyalistów (słyszeliśmy w Krakowie w roku obecnym takiego specyalistę „od Beethovena“ p. Lamanda) należy odróżnić od osobników utalentowanych, którzy w swej indywidualności posiadają pewne duchowe pokrewieństwo z indywidualnością jakiegoś twórcy — a zdolni objąć całą literaturę swego fachu, zwracają się najchętniej ku ulubionemu kompozytorowi, znajdując w wykonywaniu jego dzieł najwięcej ponęt artystycznych, tudzież muzycznych rozkoszy. Do takich należy Aleksander Michałowski. Skromny, unikający rozgłosu, zapracowany, cieszy się od dawna w Polsce całej sławą jednego z najlepszych — jeśli nie najlepszego — Chopenistów, a sławę tę zawdzięcza nie tylko głęboko odczutej interpretacyi dzieł tego geniusza fortepianu, z fortepianem najściślej zespolonych, lecz także i charakterowi talentu fizycznego i artystycznego.

„Chopin leży mu w palcach“ — możnaby powiedzieć o pianiście, trawestując zdanie, które Rossini wypowiedział o spiewaczkach. Jak Michałowski wykonuje Chopina, z jakiem odczuciem i przejęciem się wewnętrzną częścią jego utworów podaje piękno muzyczne, jak zewnętrznie t. j. pod względem technicznym je traktuje, zbyteczną rzeczą byłoby rozwodzić się. Znane to aż nadto dobrze, każdemu, kto choć raz miał sposobność posłyszeć go z estrady.

Urodzony w Kamieńcu Podolskim 5-go maja 1851 r., pierwsze początki muzyki zawdzięcza Michałowski matce, która w siedmioletnim chłopcu znalazła nie tylko dar do odgrywania zasłyszanych melodyj, ale i wyraźne zdolności improwizatorskie. Jak sam pisał w swych notatkach, z tak wielkim zapałem zabrał się do systematycznej pracy przy fortepianie, że w 10-tym roku życia grał już „Concertstück“ Webera. W r. 1869 wyjeżdża do konserwatoryum lipskiego, gdzie pracuje pod kierunkiem Cocciusa i Moschelesa a nadto przechodzi studya teoretyczne z Richterem. Po ukończeniu konserwatoryum studyuje jeszcze rok cały u Tausiga. Była to doba usilnej pracy młodego ucznia. poświęcającego fortepianowi do dziesięciu godzin dziennie. Trzymany z początku surowo na studyach klasycznych, do ukochanego Chopina mógł powrócić dopiero po roku i na popisie odbytym w przepełnionej sali lipskiego Gewandhausu odegrał z wielkiem powodzeniem koncert e-mol. Powodzenia tego mało nie przepłacił życiem, ponieważ zbyt silne wzruszenie podkopało wątły organizm i zmusiło do rocznego odpoczynku na wsi. W roku 1870 rozpoczyna koncertowanie w Kamieńcu i Kijowie, zaś w r. 1895 przenosi się do Warszawy, gdzie na koncercie w Tow. Muzycznem podbił od razu słuchaczów do dziś szczerych wielbicieli tego serdecznego, rzetelnego a gardzącego sztucznem efekciarstwem talentu, Michałowski występował w Warszawie około 400 razy witany na estradzie zawsze z ciepłem serdecznem i żywością. Zapracowany, błagami nie starał się o rozgłos poza granicami Polski, dając się słyszeć tylko kilka razy w Niemczech (z Barcewiczem) i Petersburgu. W kierunku pedagogicznym pracuje lat 25 z górą i liczy dziś do tysiąca uczni, wśród których znajdują się tacy jak Landowska, Śliwiński itd. Praca pedagogiczna jednak nie zabiła w nim ani artysty, ani pełnego indywidualności wirtuoza pełnego temperamentu i wysokiej kultury muzycznej.

— *urs.* —



Aleksander Michałowski.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

4

(Ciąg dalszy).

Wstał pan Edward z ławki i długo tarł palcami czoło, wodząc oczyma przed siebie. Potem oparł się ręką o stół kamienny, jak gdyby ustać nie mógł. Tak silne wrażenie wywarły słowa tajemnicze gościa na skłonnym do mistycyzmu religijnego człowieku. Do głębi przejęty był tem, co usłyszał. Nakoniec zwrócił się do tercyarki z pytaniem:

— Co mi siostra czynić każe?

— Co Bóg chce.

— Proszę mną rozporządzać, gotów jestem spełnić wszystko, czego siostra odemnie zażąda...

— Ja nic, mój bracie, to nie ja przecie, skądżebym śmiała... Domem cudzym rozporządzać... To nie ja, bracie, tylko Matka Boska Nieustającej Pomocy, której się tak spodobało ciebie upatrzyć sobie na powolnego sługę... Wymaga Ona od brata pewnej ofiary w zamian za łaski, jakie pragnie wyświadczyć.

— Słucham...

— W domu twoim, bracie, ma znaleźć schronienie i spokoju zaznać człowiek nieszczęśliwy, którego mi tej nocy Matka Boska wskazała wyraźnie.

Pan Edward zaczął czoło chustką z potu ocierać i usta otwierał dla złapania powietrza, jak gdyby się dławił z duszności; to znów kurtkę na guziki zapinał, odczuwając nagłe zimno w a'tanie mimo upalnego poranku.

Po chwilce odważył się zapytać szeptem:

— Któż to taki?

— Ksiądz.

Ta krótka, urwana odpowiedź siostry Felicyi usposobiła jakoś dziwnie dziedzica, któremu się wydało, iż źle dosłyszał, czy też nie zrozumiał tego krótkiego wyrazu.

Zdziwienie jego musiało wprost z oczu wyzierać, skoro zaraz dostrzegła je tercyarka i zaczęła tłómaczyć się wyraźniej.

— Jest w Płocku ksiądz ciężko chory, któremu ty, bracie, z Boskich rozkazów winieneś dać przytułek... Chora dusza tego nieszczęśliwego człowieka wymaga niezbędnie ukojenia... Mimo święceń kapłańskich, dał się on uwieść na pokuszenie i przez szatana został opętany... Zamiast służbie Bożej poświęcić się, grzeszny ten człowiek w sukni kapłańskiej poszedł w służbę uciech tego świata i oddał się adoracyi ciała kobiecego, szatanowi posłuszny... Bóg ukarał srodze grzesznika: stan jego jest opłakany i litości chrześciańskiej godzien zaiste...

Tu dziedzic przerwał jej pytaniem:

— A czy rodzaj choroby pozwala na przewiezienie go z Płocka aż do mojej wsi?

— Nie sądź, bracie, iż choroba przykuła biedaka do łoża. Bynajmniej. Ale mimo to, rzeczy stoją gorzej, niż sądzisz... Lekarze stwierdzili już rozmiękczenie mózgu.

— Więc do tego stopnia.

— A szkoda człowieka, nadewszystko zaś Kościołowi szkoda straconego sługi. Duchowieństwu naszemu dotkliwie brak ludzi odpowiednich na ważne posterunki pasterskie. Nieraz mi to powtarza nasz święty Ojciec Kapucyn... Onby jeden był zdolny w aniołów pozmieniać naszych duszpasterzy, a im wszystkim tak daleko do anielstwa O swoje ciało przeważnie dbają... Zaniedbują dusze swych owieczek... Brak im wszystkim łaski Bożej... Ta łaska musiała snać opuścić biednego księdza Jana, o którym ci, bracie, wspominam, że go masz przyjąć pod swój dach w tak smutnym stanie już niestety.

— Dom mój otworem stoi dla wszelakiej nędzy, dla wszelakiego nieszczęścia... Możesz nim, siostro, rozporządzać do woli.

— Nie ja, bracie, lecz Bóg tak chce.

— Słyszałem.. i skoro Bóg mi ciebie tu przysłał, staję ci się od tej chwili posłusznym sługą.

— A zatem wysłuchaj, bracie, rozporządzeń, jakich mam ci udzielić według objawienia... Żona twoja musi nadal pozostać, dokąd ją wysłałeś na pokutę... Natomiast synów odbierzesz jej obu i nie dasz im opuszczać swojego domu. Ja sama zajmę się duszami tych chłopców i odtąd możesz być o swoje dzieci spokojny, bracie... Jeszcze się nie rozpatrzyłam i nie wiem, co w twym domu jest dobre a co złe, rozumiesz mnie, bracie, nie miałam sposobności jeszcze dostrzedz, co się tu Bogu podoba, a co się dzieje przeciw Bogu... Ale łaską Niebieską oświecona, nie będę potrzebowała długiego czasu na zoryentowanie się w tym domu i rychło zadecyduję, co mam odmienić z gruntu, a co zostawić, pochwaliwszy.

Siostra gospodaruje.

Z dnia na dzień odkładano wyjazd do Płocka, dokąd dawno odprawiono z powrotem furmana, (który do Prus przywiózł bryczką tercyarkę), a dokąd już wygodniejszym powozem i czwórką koni dziedzica miała się wybrać teraz siostra Felicya w towarzystwie pana Edwarda, dla zabrania chorego księdza Jana.

A tymczasem intruzka — jak ją przezwała niezadowolona klucznica Teklunia — ujęła już w zupełności i to z całą energią w swoje ręce rządy domu we dworze i wogóle w majątku bogatego ziemianina.

Odtąd już Teklunia przestała być gospodynią pod nieobecność pani, przestała być nawet faktyczną klucznicą, mimo, że jej tego urzędu nie odbierała nigdy dziedziczka za pobytu w domu.

Staruszka popłakiwała po kątach, czując się już tylko zwykłą służącą we dworze i wreszcie rozchorowawszy się ze zmartwienia, nic poradzić nie mogąc, usunęła się do swego zacisznego pokoiku, pełnego kwiatów i kanarków i nie wychodziła z mieszkania przez cały tydzień.

Wszystko byłaby gotowa przebaczyć i dziedzicowi, którego wypiastowała — i tercyarce, która, zdaniem Tekluni, stała się teraz jego złym duchem.

Ale jednego darować im nie mogła.

Wyrządzili jej największą krzywdę tem, że dzieci pana Edwarda, które ona jakby własne wnuki rodzone ukochała, a które już od kilku dni, matce z folwarku odebrane, biegały po domu, pustotą cały dwór napełniając — miały surowo zabroniony wstęp do mieszkania klucznicy.

Parę razy z poza kwiatów w oknie, ze łzami w oczach spoglądała na wesołych chłopaków, uganiających po dziedzińcu dokoła gazonu, ale żaden z nich nie dojrzał głowy Tekluni, ukrytej za zieloną klatką z kanarkami.

I tę przyjemność jednak rychło straciła biedna starowina, ponieważ naraz tak się zasłociło, iż chłopcy bawili się tylko w domu, lub niekiedy na tarasie, którego z okna mieszkania klucznicy nie było widać.

Tymczasem wielkie reformy, jakie z gruntu zaprowadzała pośpiesznie siostra Felicya w całym domu z ogromną energią, dawały się od pierwszych dni odczuwać na każdym kroku.

Widać było zmiany choćby zaraz na wstępie do dworu. Na wielkim gazonie kolistym w pośrodku dziedzińca przed domem przyozdobiono studnię dużą figurą Matki Boskiej z lampką kolorową wiecznie płonącą. Jeszcze ogrodnik tylko na rozkaz nowej gospodyni pracował około trwałego przystrojenia białej statuy w kwiecie i wieńce zieleni.

Nad gankiem u głównego wejścia do dworu zawieszono wielki obraz metalowy w dębowych ramach z daszkiem: był to wizerunek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, rzucający się w oczy jaskrawością barw za dnia, a i od zmierzchu przez całą noc widny zdala z powodu dużej lampy błękitnej, w której oliwa świeciła się bez przerwy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Potomek polskiego Bismarka.

Dziedzic wielkiego imienia i wielkopańskiej fortuny po wielkim ongi kanclerzu, żelaznym Bismarku polskim, przed laty jeszcze niedawnemi młodzieniec prawdziwie „złoty“, oddany życiu wesołemu, dziś przedwcześnie może obarczony bardzo licznymi obowiązkami i zaszczytami obywatelskimi, do których wkrótce dołączy i poselstwo z ziemi lubelskiej i małżeństwo z księżniczką Maryą Sapieżanką, przedstawia ordynat Maurycy hr. Zamoyski osobistość wybitną, godną powszechnej uwagi ze względu na rolę, którą odegrać może w dalszym rozwoju wypadków w Królestwie Polskiem.

Otoczony powszechną sympatyą bynajmniej nie dzięki samej fortunie, ale przedewszystkiem dzięki swemu charakterowi, swej uprzejmości, uczynności a nadewszystko temu demokratyzmowi polskiemu, który cechuje go w życiu publicznem i prywatnem.

Umie zainteresować się każdą sprawą publiczną, zająć się nią i służyć jej czynnie ilekroć razy zgodna ona z jego przekonaniami jako Polaka gorąco ojczyznę i jej przeszłość miłującego.

Toteż z chwilą, kiedy duchowo dojrzał społecznie i politycznie zajmuje się czynnie całym szeregiem instytucyj humanitarnych, sportowych, artystycznych i naukowych, nie żałując nigdzie ni czasu, ni pracy, ni grosza, upatrzony i pożądany wszędzie na krzesło przewodniczącego, na którem odznacza go bezstronność, życzliwość dla sprawy, zajęcie się nią gorętsze a skuteczne dzięki swej pozycyi towarzyskiej i majątkowej.

Zatem po kolei znajdują w nim rzecznika i patrona Tow. łyżwiarskie, Tow. pomocy dla ubogich chorych, Szkoła sztuk pięknych, Filharmonia, wreszcie wydawnictwo organu narodowej demokracyi: „Goniec“, pięciokrotnie jak Kameleon skórę zmieniający swój tytuł pod naciskiem stanu wojennego.

Zna ordynata Warszawa, lubi i ceni, znają go ubodzy, którym nigdy nie odmawia pomocy, znają i kochają włościanie w jego rozległych dobrach w Lubelskiem, ceni wreszcie cały personal oficyalistów i robotników, o których zabezpieczeniu na starość lub wypadek kalectwa umiał też pomyśleć.



Zagłada krainy złota: Jedyny z „drapaczów niebios“, który przetrzymał trzęsienie ziemi w San Francisko.

Z serdecznemi więc życzeniami odnosi się ogół do świeżo postanowionego jego związku małżeńskiego z ks. Sapieżanką i z tej też racyi poświęcają mu i „Nowości“ tych słów kilka. *B-t.*

Zagadki do nagrody.

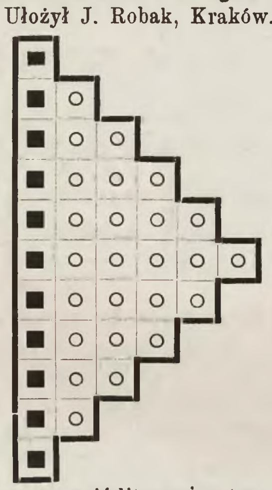
ZAGADKA.

Ułożył J. Robak, Kraków.

Z liter, składających słowa: dom, wir, list, Fałat, lep, kiwi, okuń, czas, Sicz, piłka, Rakoczy, fircyk, Żeleński, wici, Wawr, spis, San, wosk — utworzyć nazwiska dziesięciu poetów polskich.

Zagadka trójkątowa.

Ułożył J. Robak, Kraków.

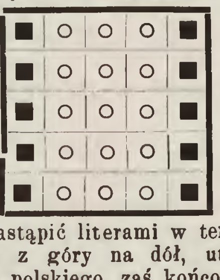


Kropki i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby litery. oznaczone kropkami, utworzyły dwa słowa, oznaczające pewne prawo w dawnej Polsce, które się w znacznej mierze przyczyniło do upadku naszej ojczyzny.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Krzemień glinowy połączony z wodą, najpospolitszy minerał ziemisty. 3. Słynne z konfederacyi miasto na Podolu. 4. Bajeczny heros grecki, bohater słynnej tragedyi Sofoklesa. 5. Wyspa na morzu Bałtyckiem. 6. Miasto w Szwecyi. 7. Znakomity poeta angielski. 8. Powieść Krechowieckiego. 9. Słynne miejsce kąpielowe w Hessen-Nassau. 10. Zaimek. 11. Samogłoska.

Kryptogram.

Ułożył J. Robak, Kraków.



Kropki i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko współczesnego poety polskiego, zaś końcowe, czytane w tym samym kierunku, tytuł jego wspaniałego dramatu.

Znaczenie wyrazów: 1. Sławny niemiecki poeta mieszczański w XV. w. 2. Miasto w Syberyi. 3. Zwierzątko z rodziny pierwotniaków, żyjące w wodzie. 4. Pierwiastek chemiczny. 5. Spółgłoska i śliczny poemat Słowackiego.

Arytmogryf.

Ułożył J. Robak, Krakó v.

1	3	13	2	9	1	9	15	6	10	7
	10	14	4	16	2	3	17	3	7	
		11	9	18	3	16	10	3		
			20	3	4	10	3			
				9	5	10				
			20	3	6	16	6			
		17	3	2	7	8	5	8		
	1	3	2	21	8	9	13	7	8	
	22	3	7	6	9	23	7	10	6	
		24	3	2	10	14	7	8		
			11	6	11	10	3			
				9	12	3				
			3	15	13	16	3			
		19	25	16	2	14	17	3		
	7	3	2	26	10	3	19	9	10	
24	2	8	21	24	14	19	6	9	27	28

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko znakomitego malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię i nazwisko byłego prezydenta Francyi. 2 Instrument muzyczny. 3 Gatunek pokrzywy. 4. Imię pospolite dziewcząt wiejskich. 5. Słynny uczony, przeciwnik Lutra. 6. Jedna z wysp Antylskich w Ameryce. 7. Doskonała potrawa, zwłaszcza zabielana z buraków. 8. Członek potężnej sekty żydowskiej. 9. Generał polski w powstaniu z 1794 roku. 10. Słynny rektor uniwersytetu Jagiellońskiego w XV. wieku. 11. Waleczny rycerz, słynny wódz Husytów. 12. Imię żeńskie. 13. Dopływ Dunaju. 14 Część ciała. 15. Część ubioru kobiecego. 16. Opowiadanie, często spotykane w ewangelii.

Logogryf.

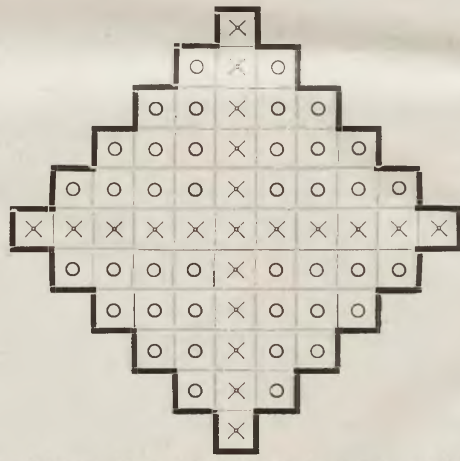
Ułożył J. Robak, Kraków.

Ze zgłosek: a, a, an, ar, ar, bach, bloc, ce, chow, ci, da, del, dos, drop, dy, dyk, e, e, e, e, e, e, en, fa, fen, frat, ga, go, han, i, in, is, ja, je, ka, kar, ke, ki, kło, ktar, ku, lap, le, le, le, le, li, li, met, mil, mo, mon, na, nau, ne, ne, ni, ni, ni, ni, niech, no, no, o, o, o, o, of, pa, pa, pi, pol, pso, ra, re, ro, ro, ru, ry, ryt, rze, sa, sa, ski, sku, stwo, szni, te, te, ter, tre, ty, ty, u, u, u, um, wie, wir, wy, zo, zop — ułożyć 32 wyrazy, których litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, utworzą nazwy 10 muz greckich.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto gubernialne gubernii Ufimskiej w Rosyi. 2. Autor „Zaczarowanego Koła“. 3. Jedna z najlepszych powieści Elizy Orzeszkowej. 4. Miasto w Wielkiem księstwie poznańskiem. 5. Dwa ptaki. 6. Wyspy na zachodniem wybrzeżu środkowej Ameryki. 7. Wielka rzeka w Indyach. 8. Nazwa duchownych i znawców prawa u Turków. 9. Miasto w Niemczech nad Mozelą. 10. Grecki bóg lekarzy. 11. Wyspa na morzu Śródziemnem. 12. Słynny skrzypek włoski. 13. Inaczej: w całości, w wielkiej masie. 14. Długoletni kanclerz cesarstwa austryackiego. 15. Inaczej ten sam (słowa łacińskie). 16. Bajeczny król Anglii, bohater jednej z tragedyi Szekspira. 17. Góra we Włoszech. 18. Minerał, spotykany zazwyczaj przy nafcie. 19. Najwyższy po Montblanc szczyt alpejski. 20. Imię męskie. 21. Małe ptaszki wróblowate, żyjące w ciepłych krajach. 22. Imię żeńskie. 23. Słynny bajkopisarz grecki. 24. Wyrób broni, rzemiosło. 25. Miasto w Turcyi. 26. Zakon, założony w XVI. wieku przez św. Kajetana. 27. Słynny kompozytor melodyjnych operetek. 28. Jedna z najpiękniejszych dzielnic dawnej Polski. 29. Inaczej zakład naukowy. 30. Miasto w Persyi 31. Znakomity pisarz polski z 16 wieku. 32. Najznakomitszy poeta indyjski, autor słynnego dramatu „Sakuntala“.

Kryptogryf.

Ułożył E. Illukiewicz. Sambor.



Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym kierunku czytane, utworzyły imię i nazwisko szewca-bohatera polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Bożek pasterzy u starożytnych Greków. 3. Odmiana jastrzębi. 4. To, czem się konie podkuwa. 5. Słynny poeta polski. 6. ?. 7. Autor pieśni: „Kiedy ranne wstają zorze“. 8. Rzecz pospolita w Europie. 9. Największa rzeka w Galicyi. 10. Rzeka w południowej Rosyi. 11. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę **wspaniały tort orzechowy** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 15.

Szarada.

Bonaparte.

Logogryf.

Efraі**M**, **l**alk**a**, **I**go**r**, **z**ałot**y**, **a**mbrozy**a**, **O**bło**K**, **R**inal**do**, **Z**eno**n**, **e**speranto, **s**yru**p**, **Z**akliczy**n**, **K**rasińsk**i**, **O**ło**muniec**, **W**ale**k**, **A**nastazy**a**.

Eliza Orzeszkowa. — Marya Konopnicka.

Zagadka.

Rafał, barka, San, Wanda, socha, Nil, poseł, kozak, ten, sekta, Mekka, Pol, basza, masło, gruzy, cytra, juhas.

Franciszek Kossuth.

Kryptogryf.

Malta, piegi, grota, purpura, **Sny o potędze**, stolica, Rodan, Ibsen, Tytus, wraży, Zofia, Balfour.

Leopold Staff — Sny o potędze.

Arytmogryf.

Napoleon Bonaparte.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Z. Ehrenberg Kraków J. Robak Kraków, K. Fuchs Peczeniżyn, ks. C. Grzesiak, Mogiła, J. Sulkowski Kraków, I. Pompianka Kraków, M. Stelcerowa Lwów, J. Aleksandrowicz Kraków, J. Lipińska Medyolan, Cz. Lipiński Medyolan, Fr. Niepokój Krosno, H. Kłos Warszawa, A. Zimmer Mikulińce. A. Mussil Lwów, Tow. Zgoda Krosno, J. Kulczyńska Kraków, K. Bobek Kraków, Z. Szymczakowska Kraków. R. Orłowski Kraków, M. Bossowska Bistoszowa, J. Weimerowie Nowy Sącz, J. Jaroszkówna Nowy Sącz, N. Auerówna Podgórze, O. Piotrowska Kraków, K. Kaczarowski Sanok, Al. Bocsoń Bóbrka, J. Wodziczkówna Germakówka, M. Gałuszkiewicz Lwów, H. Ulrych Malin, J. Kłosówna Warszawa, Fr. Milk Żyrardów, H. Karatnicka Nadwórna, A. Surowiecki Kraków, A. Pukalski Andrychów, G. Fuchsbalg Lwów, N. Świtkowski Rzeszów, J. Haładej Górki, M. Bartelmusowa Lwów, J. Kalinowska Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Czechowicz Mikołajów, J. Dobrzańska Kołomyja, A. St. Bassara Niwiska, Wł. Karatnicki Worochta, Wł. Kisielewski Stryj, J. Badura Rożdzień, E. Bogdalska Koropuż, St. Gajdeczka Sieniawa, W. Stanula Samocice, J. Bazylewicz Jaktorów, H. Mokrzycka Turbia, L. Ulrych Ulanów, K. Chodkiewicz Zbydniów, A. Wiśniewski Sulimów, J. Janosz Tartarów, M. Rożański Gorlice, N. N. Lwów, A. Waranka Kocmań, K. Jasiński Kraków, H. Plechawska Stanisławów, J. Kobylański Honiatycze, B. Warowitz Nowy Sącz.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. **W. Stanula w Samocicach.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Zaradził.

— Tatele, ja nie mogę ożenić się z Bertą, taka brzydka!

— Zaciśnij zęby jak ją uściskasz!